

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 15 GRUDNIA 1928 ROKU

NR 51

TREŚĆ NUMERU: Najnieszcześniejsze matki — *Natalja Jastrzębska*. Niechaj nasz ogień nie będzie słomiany — *Róża Czekańska-Heymanowa*. Rozważania — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: Strzępy i włókna: „Okrągły wiersz”, „Fermata”, „Czary” — *Kazimiera Młakowiczówna*. Rafałek i Dulcinea (nowela) c. d. — *Felicja Kruszevska*. 11 listopada w Paryżu — *J. Putiatycz Surynowa*. Sport i wychowanie fizyczne — *M. Miłobędzka*. Z teatrów. Z książek — *W. B.* Książki nadesłane do redakcji. Kobieta w świecie i w domu — *N. J.* Ilość zawodowo pracujących kobiet w Polsce — *Lidja Kozakówna*. Technika — *Wanda Młodożeńcowa*. Walka o piękność — *Dr. M. Strzelecka*. Święta — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Suknie z krajowego jedwabiu — *Well*. Dodatek powieściowy „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

NAJNIESZCZĘŚLIWSZE MATKI

Praca nad tworzeniem i doskonaleniem naszej odrodzonej państwowości przedstawia tak olbrzymi kompleks zagadnień i wymaga tak wiele wysiłków, zarówno rządu, jak społeczeństwa, że istnieje jeszcze, niestety, szereg zagadnień, z którymi nie zdążyliśmy uporać się w ciągu krótkich lat dziesięciu.

Nie uwalnia nas to jednak od obowiązku jaknajpilniejszego śledzenia i usuwania pozostałych jeszcze bolączek życia społecznego w Polsce.

Na jedną z nich, najbardziej palącą, najokropniejszą w swej istocie i skutkach, pragnę zwrócić niniejszem uwagę. Na sprawę matek opuszczonych, które wielokrotnie giną, tak dosłownie giną z głodu i nędzy w wolnej Polsce.

Na ostatnim zebraniu dyskusyjnym Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet odbył się odczyt dr. Reut-Boremskiej, która oświetliła przerażające wprost swą grozą fakty.

Istnieją w Polsce wprawdzie Stacje opieki nad matką i niemowlęciem, ale instytucje te tak są zorganizowane, że roztaczać mogą opiekę i nieść pomoc tym jedynie matkom, które mają w życiu jakiś punkt oparcia, najskromniejszy bodaj dach nad głową.

A tymczasem w samej Warszawie żyje, raczej marnieje, około dwóch tysięcy kobiet bezdomnych, opuszczonych z niemowlętami, niemających żadnego schronienia i pozbawionych wszelkich środków do życia!

Kobieta, zostająca w tem położeniu, odbywa północ w przytułku. Po dziewięciu dniach wychodzi stamtąd nieraz nawpół naga, z dzieckiem na rękę.

Gdzie ma się zwrócić?

Zgłasza się do domu wychowawczego im ks. Boduena. Tam może zostać przyjęta, jako karmicielka, ale tylko wtedy, gdy odpowiada pewnym warunkom, t. j. ma dobry pokarm i jest zdrowa.

A tymczasem ogromna większość tych nieszczęśliwych jest w stanie zdrowia, uniemożliwiającym powierzenie im karmienia, przeszło zaś 40 procent zśród chorych przypada na choroby udzielające się.

Wobec tego pełnienie obowiązków mamki, zapewniające opuszczonej przyzwoite pożywienie, mieszkanie, a przede wszystkim — możność opiekowania się własnym dzieckiem, jest możliwe tylko dla wyjątków.

Co się dzieje z resztą?

Odgrywają się w domu wychowawczym sceny wprost tragiczne, szarpiące nerwy całego personelu, sceny, o których dr. Reut-Boremska mówiła z największym wzruszeniem.

Nieszczęśliwe kobiety nie chcą odejść z domu wychowawczego, gdyż nie mają gdzie iść, nawpół okryte, głodne, bezdomne i chore, a personel nie ma żadnych środków poradzenia im czegokolwiek. Nie ma, bowiem, zupełnie schronisk dla takich opuszczonych matek! Jeżeli są chore w takim stopniu, iż można zakwalifikować je do szpitala, dostają taką kwalifi-

kację; ale szpitale są tak przepełnione, że najczęściej niema miejsca.

Co jednak zrobić z osłabionymi, choremi nieraz ciężko, a jednak nie obłożnie, których do szpitala skierować nie można? Jediną instytucją, dającą przytułek takim nieszczęśliwym, jest schronisko w Grochowie, utrzymywane przez Koło Pracy Kobiet, — pomieścić ono może piętnaście (wyraźnie!) pensjonarek — Komentarze zbyteczne.

Są to fakty wprost przerażające. W roku bieżącym zdarzyły się dwa wypadki, że matki takie, po parodniowym błakaniu się po ulicach, wróciły do domu wychowawczego ze zwłokami swych niemowląt, zmarłych „po drodze” z wyczerpania. Pokazały biedne swoje trupki, aby dowieść, że nie chciały podrzucić swych maleństw, że próbowały wszelkich środków, chodziły wszędzie, dokąd je z domu wychowawczego skierowano — napróżno, nie znalazły ratunku!

Ile po takim błakaniu się popełniło dzieciobójstwo? Ile, nie zabijając wprawdzie, rzuciło niemowlę, które potem zmarło? Kroniki policyjne notują przecież dziesiątki takich faktów.

„Znaleziono zwłoki niemowlęcia, bez oznak gwałtownej śmierci” — poprostu było głodne i zmarło.

A nie trzeba mniemać, że te tragiczne matki, to jakieś wyrzutki społeczeństwa. Są to częściowo matki nieślubne, są i mężatki, robotnice, opuszczone przez mężów, lub też żony bezrobotnych i bezdomnych, niekiedy żony żołnierzy w czynnej służbie. Kimkolwiekby jednak były, trzeba dać im ratunek. Nie do zniesienia jest myśl, że kobieta, obywatelka kraju, błaka się, jak pies bezdomny, chora i głodna, nie mogąc uratować dziecka od śmierci!

We wszystkich krajach Europy istnieją już Stacje opieki nad opuszczonymi kobietami. Są to wzorowe domy, urządzone podług wymagań higieny, z oddziałami izolacyjnymi dla chorych, z personelem wyszkolonych pielęgniarek i wychowawczyń. Domy takie muszą powstać i u nas.

W dyskusji, która wywiązała się na zebraniu po odczycie dr. Reut-Boremskiej, odzywały się głosy, aby narazie, wobec trudności finansowych, zorganizo-

wać tylko domy noclegowe bodaj najprymitywniejsze, dla bezdomnych matek i Stacje żywienia, na wzór istniejących we Francji, gdzie są kantyny, w których kobiety ciężarne dostają posiłek. Naturalnie, że trzeba to jaknajprędzej uczynić; zwłaszcza Stacje odżywcze są względnie łatwiejsze do zorganizowania. Trudniej jest już z noclegami, gdyż muszą one być urządzone tak, aby nie stały się ogniskami chorób zakaźnych, a do tego potrzebny jest odpowiedni lokal i opieka sanitarna.

To też słusznie w swej odpowiedzi na dyskusję zaznaczyła prelegentka, że działać trzeba radykalnie. Wszelkie półśrodki mogą być uważane tylko za istniejące na czas przejściowy, który należy skrócić do minimum. Dla opuszczonych, bezdomnych matek powstać muszą przytulki, zapewniające im możność utrzymania siebie i niemowlęcia do czasu znalezienia pracy, lub środków do życia. Domy takie opłaca się zresztą sownie społeczeństwu, będą bowiem idealną praktyką dla pielęgniarek i higienistek.

Nie mamy prawa zrażać się kosztami i czekać, aż pomyśli o takich przytulkach rząd. Społeczeństwo musi wziąć inicjatywę, musi wołać wielkim głosem, a fundusze się znajdą, gdyż budżet państwowy uwzględni zawsze pozycję społecznej konieczności. Jest to, doprawdy, zdumiewające, że kobiety tyle czasu tak spokojnie patrzyły na ten obraz nędzy i niedoli. Czas wyjść z tej bierności!

Zebranie Związku Obywatelskiej Pracy kobiet uchwaliło rezolucję, która złożona zostanie posłankom, rezolucję, żądającą jaknajszybszego rozstrzygnięcia tej sprawy, z uwzględnieniem tymczasowych środków zaradczych, jak leczenie matek opuszczonych w szpitalach, lecz domagającą się również formalnego zobowiązania samorządów do opieki nad opuszczonymi, a przede wszystkim wydania specjalnej ustawy o ochronie matek opuszczonych.

Jednocześnie z akcją sejmową musi jednak zostać podjęta energiczna działalność społeczna. Każda kobieta w jakikolwiek, najmniejszy bodaj sposób, przyczynić się do niej powinna.

Mamy w Polsce dużo dzieci, ale ani jednego nie mamy na zmarnowanie.

Na'atja Jastrzębska.



RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

NIECHAJ NASZ OGIEŃ NIE BĘDZIE SŁOMIANY

Akcja na rzecz samowystarczalności gospodarczej Polski poruszyła nadszpiewanie żywo całe nasze, zazwyczaj dość ospałe, społeczeństwo.

My, polacy, jesteśmy dziwnym narodem: niesolidarnym, rozwichrzonym, rozbieżnym w przekonaniach, wiecznie kłócącym się między sobą... Skoro jednak poważne niebezpieczeństwo zjawi się u bram—potrafimy, jak jeden mąż, zjednoczyć się naraz, aby wspólnym wysiłkiem stawić mu czoło.

Polak, gdy weźmie na kiel, potrafi dokonać cudu; tylko wtedy jednak, gdy na dokonanie jego wystarczy jakiś jeden wspaniały odruch, jeden bohater-ski, ale krótki wysiłek; gdy zaś płomień słomianego ognia wypali się,—powracamy znowu do dawnych nałogów i starych, ulubionych grzechów.

Obawiam się, aby tak właśnie nie stało się z naszym zapalem, z jakim narazie wzięliśmy się do obrony naszego bilansu handlowego.

To też ci, którzy kierują ową akcją, nie powinni zasypiać gruszek w popiele, lecz czuwać nieustannie nad rozgorzałym płomieniem.

Nie wystarczy przejechać się udekorowanym samochodem po mieście i wydudnić przez głośnik kilka grzmiących haseł! Tu trzeba pracy, doskonałej organizacji, ciągłego uświadamiania społeczeństwa o doniosłości zamierzenia.

Agitacja nie powinna odwoływać się tylko do uczucia tłumy.

Przestańmy już wreszcie być narodem, który reaguje tylko na pobudki sensualne: nauczmy się powodować rozsądkiem, a nawet—wyrachowaniem.

Niechaj każda elegantka, szumiąca zagranicznymi jedwabiami i woniejąca paryską perfumą, dowie się i zrozumie, że spowodowane przez nią wywożenie polskiego pieniądza zagranicę uderza po kieszeni jej własnego męża i ogranicza jego możliwości zarobkowe, co w rezultacie odbić się musi na dobrobycie całej rodziny.

Aby to, jednak, pani taka zrozumiała, należy ją uświadomić w sposób przejrzysty i przekonujący.

Kobiety — nietylko one, ale i przeciętna nasza publiczność—mało interesują się przemysłem i gospodarką kraju; należałoby więc może zapomocą odczytów i artykułów w prasie informować ogół o tem, jakie towary wyrabiane są u nas na miejscu.

Jednocześnie byłoby pożądanem, aby wytwórcy nasi i kupcy, wobec zwiększenia się popytu na towary krajowe, nie podnosili na nie cen: niechaj rozumieją, że w ich własnym interesie leży zadowalanie się mniejszym zyskiem przy większym obrocie, co

w rezultacie przyniesie im znaczniejszą korzyść, niż gdyby sprzedawali mniej, a drożej.

Niechaj przytem nie zapominają o reklamie, która jest potężnym czynnikiem rozpowszechniania towaru. Niechaj reklama ta będzie żywa i pomysłowa, a nie ogranicza się wyłącznie na ogłoszeniach, zredagowanych w stary, stereotypowy sposób.

Świetnym środkiem reklamy jest film, — jakże niedołącznie jednak bywa u nas stosowany! Oto przykład.

Przed kilku dniami na ekranie jednego z większych teatrów świetlnych stolicy ukazał się najpierw wspaniały napis, zachęcający do kupowania jedynie towarów krajowych. Bezpośrednio zaś potem, ku zdumieniu obecnych, wyświetlono tylko dwie reklamy: jedna z nich głosiła o wytworności perfum pewnej paryskiej firmy, druga — polecała szwajcarski środek odżywczy dla dzieci!

Napisy na kartonach, wywieszone w warszawskich oknach sklepowych, pomijając już złą polszczyznę, są zredagowane bardzo niezręcznie, sens ich, bowiem, jest mniej więcej taki: zanim kupisz towar zagraniczny, obejrzyj artykuły krajowe. Jakto? Więc towar polski mamy tylko oglądać, a kupować zagraniczny!

Przy popieraniu wytwórczości polskiej ogromną rolę może odegrać kobieta, ona to, bowiem, najwięcej kupuje dla siebie, dzieci i gospodarstwa domowego. Aby jej pomóc i zachęcić do dobrej sprawy, byłoby może dobrze uderzyć w strunę (niestety!) snobizmu. Cóż robić! Qui veut la fin, veut les moyens. Kobiety wszak bywają różne, a bardzo często—próżne; próżność zaś chodzi zwykle w parze ze snobizmem. Przeprowadzić to możnaby, jak następuje.

Niechajby nasze panie, stojące na świeczniku, — czy to dzięki stanowisku męża, wielkim stosunkom, urodzeniu, majątkowi, czy też nasze najulubieńsze artystki, słowem polskie „leading ladies“ — zechciały czynnie pomóc toczącej się akcji w ten sposób, że dla przykładu, dajmy na to, w gazetach, ogłaszają, iż postanowiły wyrzec się nabywania towarów zagranicznych.

Ten dobry przykład, płynący z góry, z pewnością pociągnąłby za sobą całe rzesze kobiet, gdyż elegantki, nie umiejące sobie dotychczas odmówić kupowania artykułów importowanych, rozumieją, że poparcie swojszczyzny jest obecnie w najlepszym tonie, a co za tem idzie—„obowiązuje”.

Już słyszę, jak „seryjne panie“, urzędujące co rano w Ziemiańskiej, zamiast dotychczasowego chwaleń: „sprowadziłam sobie toaletę z Paryża, mó-

wię wam, prawdziwe cudol! — będą mówiły: „przygotuję sobie sześć sukien balowych na karnawał, wszystkie z krajowych materiałów! pierwsza ..“ i t. d.

Myliłby się, kto przypuszcza, że niemoralnem byłoby przeprowadzać akcję, mającą wagę dla całego kraju, zapomocą czynników tak ujemnych, jak snobizm, i tak mało na pozór poważnych, jak moda.

Wszak czynniki te nie będą tu jedyne i wyłączne. Bilans nasz jest chory — wszyscy wiemy o tem. Wiemy również, że chorego wyleczyć można nie tylko zapomocą świeżego powietrza i dobrego odżywiania, ale i dzięki umiejętnemu stosowaniu strychniny, arszeniku, czy innej trucizny.

Najważniejsze jest to, żeby chory wyzdrowiał.

M. H. SZPYRKÓWNA

ROZWAŻANIA

Od najdawniejszych czasów ludzkość, wyrzucona niejako poza nawias niebieskiej dziedziny, — upartą tęsknotą, nierozzerwanem ciążeniem wracała jednak ku niej i wiązała z niebieskimi przemianami symbole swego ziemskiego istnienia. Oczy dalekich wygnańców zwracały się zawsze z tem samem umiłowaniem na znak widomy łaski — życiodajne słońce. I ze świętem słońca, z jego rozmaitemi przemianami, wiązała się z dawien dawna obrządki najstarszych religij, które dopiero chrystjanizm wyodrębnił w pełne niewyczerpanej głębi rocznice, zwane dorocznymi świętami.

Święto Bożego Narodzenia jest wśród rocznic chrześcijańskich najbardziej cudowną, najgłębiej tajemniczą, najsolenniejszą, i — rzecby można — z tem wszystkim, najdzieciniej radosną. Jest jakby nagłym uśmiechem nieba nad grudniową szarą duszą. Sprowadza potężną tajemnicę wcielenia do kształtu dla najuboższej inteligencji dostępnego Dzieciątka. Na miażdżącą wielkość faktu wcielenia, na jego wstrząsające posadami świata znaczenie wewnętrzne, — rzuca jakgdyby litościwą zasłonę: pozostawia natomiast to, co jest przez każdy umysł do objęcia i do przyjęcia przez każde serce w swoje ubogie wnętrze.

Symbol stajenki nie jest czczym symbolem: zdaje się mówić, że niema dość nędznego przytułku, gdzieby tylko bydłeta miały dotąd schronienie, — a który nie stałby się Przybytkiem pod uświęcającem tchnieniem boskiej mocy — i bydłeta oddają hołd Panu. Nad tym wielkim symbolem można pomyśleć dłużej, i wrócić do tej myśli za chwilę. Przedtem jednak chciałabym poruszyć jeszcze zamarzniętą niejako grudkę roli grudniowej, jaką jest każda dusza ludzka w pewnych okresach swego życia — i która nigdy nie wydałaby plonu, gdyby słońce Łaski nie wzruszyło jej do dna swemi wszechżywcami promieniami.

Chrystus przyszedł na świat wtedy, gdy ludzkość była ścierpnięta, a głosy proroków, nawołujących

do naprawy życia, były głosem na puszczy. Mogły one przypominać, ale nie w ich mocy było odmienić drogę stygnącej duszy ludzkiej i wprowadzić ją na lepsze tory. Równie dobrze nie roztopiłyby kory lodowej na polach pochodnie poszczególnych rolników, gdyby najżarliwiej nawet chcieli ją ogrzać i ocieplić. Trzeba na to potężnego słońca — narodzenia Zbawiciela. Zburzenia wszystkich fałszów i przewartościowania wszelkich wartości, jakim było Jego życie — a wreszcie potężnego wstrząsu w świecie widzialnym i niewidzialnym — Jego śmierci. Dopiero szereg tych tajemnic ponadludzkiej miary sprowadził na ziemię przemianę, dzięki której pękły okowy stępszałej zatwardziałości i zaczęło kiełkować nowe życie, pod znakiem miłosierdzia i ofiary.

Symbol — to skrót wielkich praw i wielkich prawd, wyrażony schematycznie, ale zawierający w sobie wszystkie twórcze momenty treści. Największe tajemnice ducha zawarte są w chrześcijańskich symbolach, którym każdy z nas może być obecny podczas obrządków, ale w których, aż nazbyt często, nie bierzemy udziału. Przyglądamy się niejako ruchom i słyszymy słowa — ale praca nasza wewnętrzna nie współdziała z głębokimi fazami przemian, jakie w naszym obliczu zachodzą. Przyjmujemy, jako prawdę, że w każdej mszy Chrystus przechodzi na nowo krwawą Swoją ofiarę — ale jakże inaczej czuliśmyby, gdybyśmy to oglądali oczami! Zapewne wówczas z płaczem i bólem uciekliśmyby z kościoła, niezdolni wytrzymać widoku męki: jesteśmy ludźmi. I Mądrość uczyniła, że oszczędzono nam udręki, pozostawiając tylko łaskę. Ale ktokolwiek chce przeżyć istotnie, w mierze, człowiekowi dostępnej, całą pełnię łaski Narodzenia, musi poprzednio umieć się wczuć w cały chłód opuszczenia. I, nie przybliżając się bynajmniej do ekstazy wiary, którzy tak umieli wejść bez reszty w momenty męki, tak zjednoczyć się duchem z Golgotą, że i na ciele ich zaczynały krwawić stygmaty: nie posuwając się do tego, każdy z nas może

jednak w pewnej mierze i na własnej drodze przeżyć podawane nam przez wiarę tajemnice nieporównanie głębiej, niż to się powszechnie dzieje. Zjednoczyć się niejako duchem ze ścieżką wielkich zdarzeń grudniowej Nocy — i przez to stać się istotnym uczestnikiem, nie zaś widzem tylko uroczystej i radosnej chwili Bożego Narodzenia. Narodzenia Boga pośród bydła.

Zastanówmy się chwilę, jak dalece symbol stajenki pokrywa się z sercem człowieka przeciętnego, takiego, jakim go znamy, a jeszcze bardziej — takiego, jakim zna siebie sam — tylko sam — wyłącznie sam — i jakim zapewne nie dałby się oglądać najbliższemu nawet przyjacielowi?

Życie współczesne jest twarde i szczególnie wyzbyte istotnego pierwiastku chrześcijańskiego. Postulaty katechizmowe chodzą osobno, a praktyka codzienna — osobno. Jak konwencjonalni znajomi, spotykają się tylko w święta, na pewnych umówionych uroczystościach; jak niedobrane małżeństwo, unikają współżycia w domowej codzienności. Najdziwniejsze sprzeczności zachodzą w społeczeństwach chrześcijańskich: dość wymienić chrześcijańską Bolszewję, masakry zaborców nad irlandczykami, hindusami i ormianami, niewiarogodne prawa i ustawy, — cały ustrój, tak daleki od miłości bliźniego, a ofiary ze siebie, jak Błogosławieństwa z Kazania na Górze dalekie są od kodeksu karnego. I wysiłkiem ducha powinno być dążenie, aby każda jednostka, począwszy od siebie, usiłowała zmienić to drakońskie stanowisko we własnym postępowaniu życiowym. Bo tylko w drodze ewolucji jednostki ku prawdziwemu uchrystusowaniu życia można się spodziewać zmiany stosunków społecznych lub międzynarodowych: twórcami praw i delegatami do Ligi Narodów, władcami państw i ministrami Czerwocyzajki bolszewickiej są przecież — jednostki! Gdyby były inne, niż są — chrześcijańskie nie tylko z chrztu ciała, ale i z ducha: oblicze świata wyglądałoby inaczej. Mąż każdej kobiety może zostać ministrem, syn jej zawsze może być obrany prezydentem: na te godności już ograniczeń nieomal nie mamy. Ale jakże daleko odbiegliśmy od czasów, kiedy najwyższy władca państwa był jednocześnie i najwyższym kapłanem, sprawującym z całą świadomością wspaniałej mocy obrządki religijne — i którego oczom widomem było ukryte znaczenie insygnjów, potwierdzających jego władzę!

Dziś świeckość idzie własną drogą, a duchowieństwo — własną. I spotkanie się ich zależy już tylko od dobrej woli jednostki. Jednakże tajemnice symbolów, pełnych niespożytej mocy, zostały przy

kościelne — i współuczestniczyć w nich może ten jedynie, kto u tego ogniska czerpać światło przyjdzie. A w błędzie byłby człowiek, sądzący, że znaczenie obrządków jest ściśle mistyczne, od życia oderwane: jest to bodaj największy błąd dzisiejszości. Tylko treść istotna może przetrwać lat tysiące w potęgde i panowaniu nad milionami dusz, najmniej do posłuchu i rygoru podatnych! Musimy przyjąć za pewnik, że działanie, niewidoczne oku — lub lepiej: nie każdemu oku widoczne — pod wpływem uczestnictwa w wielkich obrządkach, rodzi się w każdej duszy, która się ku nim dobrą wolą otworzy — i dokonywa w niej przemian realnych, jak realną jest zmiana powietrza w zatęchłym pokoju, który nagle otworzymy wszystkimi oknami na słońce — jakkolwiek widzieć tej inności niesposób. Można jedynie ją odczuć: i tamto można odczuć także. A działanie tajemnic wiary jest o tyle potężniejsze od przemian atmosferycznych, o ile Chrystus — ogień duchowy — jest potężniejszy od słońca, które oglądamy na niebie.

Ludzkość jest słaba i skora do zapominania najwznioślejszych nawet wydarzeń i wstrząsów. Dlatego ustalamy rocznice narodowe zdarzeń, którebyśmy pragnęli upamiętnić i przekazać dalej. Rocznic kościelne mają jeszcze inną, potężną dźwignię, która je ożywia: niespożytą treść, odnawianą za każdym razem wspaniałą symboliką, która w wykonaniu poświęconego kapłana nabiera mocy pierwotnej i bije niewysiękłym źródłem łaski ku tym, którzy otworzą dusze. Przyjęło się, że w naszym gorączkowym, powierzchownym życiu zaledwie raz lub dwa do roku mamy chwilę czasu — pod presją zwyczaju — na rozważania. W istocie, każda z wielkich rocznic kościoła wymaga skupienia na jej treści, aby w miarę wnikań w głęboką mądrość obrządku, jaśniej otwierała się rozumowi i sercu wewnętrzna treść wielkich przemian — w ciele człowieka dla jego duszy przez Chrystusa podjętych. I dopiero na tle tych zagłębień w minione dawno dzieje, — ich powtórzona w symbolach na każde Boże Narodzenie prawda stanie się znowu żywa dla dzisiejszego, odbiegłego od niej o lat dwa tysiące człowieka, a ku któremu zawsze wyciąga ręce. Ktokolwiek więc chętny jest w rozgwarze i zgiełku przedświątecznej radości, której właściwe źródło uszło już nam z pamięci — poświęcić parę chwil w ciągu grudniowego miesiąca Wielkiej Przemianie — temu niewątpliwie podczas Pasterki, w obliczu symbolicznego nabożeństwa: odsłoni się olśniewająca, jak białe światło, prawda, że on to — on sam i jego dusza — są tą odwieczną stajenką przydrożną, do której zstępuje Bóg.



KAZIMIERA IŁAKOWICZÓWNA

STRZĘPY I WŁÓKNA

OKRĄGŁY WIERSZ

Gwiazdy, utopione
w wodzie ciemno zielonej,
mokremi twarzyczkami
świecą — plama przy plamie.
Gdy rzucić w wodę kamień

— zmarszczka twarzyczki łamie
rzadziej i coraz rzadziej,
aż każda się wygładzi
i patrzą z wody zielonej
gwiazdy uspokojone.

F E R M A T A

O jakiś strop skrzydło się w locie zazębia
i staje szczęście... i pieszczota już nie sięga głębi
i miłość już serca nie sięga...
Tylko się snuje coś — nerw, nitka, wstęga,
coś wieczystego. Coś, co w cieniu kolorowym z róż i heljotropu
zaczepiło się tam, tam... Tam — razem ze skrzydłami... u stropu.

C Z A R Y

Nie możemy zostać sami:
powietrze się z chrzęstem łamie,
światło razi niebywale,
podłoga u stóp się pali,
więcej pod sufitem cienie...
Niechno ktoś tylko wejdzie
— zaraz się wszystko odmieni!



RAFAŁEK I DULCINEA

(nowela)

Panna Walerja zamknęła oczy i zganiła się surowo za uleganie tym nierozumnym porywom. Szczęściem, nikt jej nie widział. Jakieżby wtedy miała kłopoty! Zasnęła wreszcie, przerażona i smutna.

Nazajutrz rano, budząc się z trzaskiem budzika, panna Walerja wkroczyła odrazu pewną stopą w dzień powszedni. Z ulgą obejrzała swój dobrze znany pokój. Z niechęcią, ale trzeźwo, wspomniała wczorajsze brednie. Poszukała i odnalazła oczami dwa malutkie, ciemne punkciki. Bzz...

— Dość tego—postanowiła surowo panna Walerja.—Wyrzucę obie te muchy.—Ale zaraz potem, pochylając się nad umywalką, spojrzała również surowo na to postanowienie. A właściwie, dlaczego? Czyżby bała się dwóch małych, bezbronnych much? Że tam jakaś głupia dziewczyna powiedziała złośliwie pogardliwe słowo, panna Walerja ma pozbawiać ciepła i pokarmu biedne, niewinne stworzenia? Nie! To właśnie nie miałyby sensu! Rafałek i Dulcinea zostaną.

Mimo tej litościwej decyzji, nie powodziło się w biurze dnia tego pannie Walerji. Napozór—niby nic. Ale jednak... Coś się niewidocznie prawie rozluźniło w doskonałym biurowym porządku. Ni stąd, ni zowąd pannie Walerji, kreślącej szeregi ozdobnych cyfr, stanęła przed oczami scena wczorajszego tańca. Na głos parsknęła śmiechem.

— Co tam znowu, panno Walerjo? — spytała panna Helena.

— Nic, nic—mruknęła panna Walerja, zatykając usta chusteczką.

— Jakto nic, kiedy pani aż pęka ze śmiechu? No, powiedzcie; coś zabawnego?

— Śmiałybyś się dopiero, gdybym ci powiedziała—pomyślała panna Walerja, wijąc się na krześle,—ale nigdy się nie dowiesz, kochaneczko!

Panna Helena nie była zbyt cierpliwego usposobienia. Prawdę powiedziawszy, nie wiele sobie robiła z panny Walerji; to też, nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszyła energicznie ramionami, a na nowy wybuch śmiechu koleżanki mruknęła dość wyraźnie: stara warjatką!

Panna Walerja udała, że nie słyszy, ale przestała się śmiać i uczuła przenikliwe zimno na karku. Wróciła do kolumny cyfr i gwoili uspokojeniu się zaczęła coś liczyć machinalnie. Po chwili przekonała się, że zliczyła wszystko zupełnie błędnie. Wreszcie spokój powrócił.

Aż do ostatniej godziny zajęć panna Walerja zachowywała się wzorowo, to znaczy, jak dawniej. Z pewnym też zalem zbierała się do wyjścia. Tu przecie

było jednak coś niewzruszonego. Tu wszystko było w porządku.

W miarę, jak panna Walerja zbliżała się do swego mieszkania, malutki, a dojmujący niepokój wrażał. Zaczęło jej się wydawać, że odnajdzie tam niewidoczne jakieś ślady wczorajszych przeżyć. Uśmiechając się sama nad sobą, otworzyła drzwi. Prawie z biciem serca zapaliła lampę. Łóżko, biurko, kilimek, fotel. Nie, wszystko było, jak dawniej.

Bzz...

Uśmieszek skonał na wargach panny Walerji. Bez uśmiechu spojrzała najpierw na grubego Rafałka, potem na wiotką Dulcineę.

Z mocnem postanowieniem czytania zasiadła w fotelu. Bzz. Bzz. Litera i wyrazy przesuwają się przed oczami panny Walerji, ale uszy jej pełne były muszowego brzęku. Dziwnie uporczywie brzmiał ten po-brzęk. Panna Walerja nie wiedziała sama, kiedy przestała czytać, a zaczęła myśleć. No tak, mogłaby, na przykład, uklęknąć na środku pokoju i uderzyć trzy razy czołem o podłogę; mogłaby krzyknąć:—cip, cip, Rafałek, cip, cip, Dulcinea!—Mogłaby, gdyby chciała, wykonać tysiące bezsensownych rzeczy. Czyż to ma dowodzić, że jest warjatką? Mogłaby też zatańczyć. Jak wczoraj. No i cóż? Jeżeli zechce, zatańczy. Właśnie zatańczy, i przestanie, i nic się przez to nie zmieni, bo przecież jest zupełnie normalna. Boi się? Co za dzieciństwo! Właśnie, że się zupełnie nie boi.

Panna Walerja wybiegła na środek pokoju. Stała na palcach. Chwyciła suknię rękami.

Bzz. Panna Walerja puściła suknię. Rzuciła się do szafy. Prędko, drżącymi rękami chwyciła płaszcz, kapelusz i, nie gasząc zupełnie światła, wybiegła do przedpokoju, na schody, na ulicę.

Oczywiście, panna Walerja nie wzięła ze sobą parasola. A tymczasem padał deszcz, dość ulewny i wiatr zaciął, wcale tęgi. Rzecz dziwna: panna Walerja nie poczuła nawet deszczu i wiatru. Pędziła prosto przed siebie, chwytając ustami ostre powietrze, zanurzając co chwila w brudne kałuże nienajgorsze jeszcze lakierki.

A gnał pannę Walerję poprostu strach. Gdy tak stanęła w pozie tanecznej na środku pokoju, poczuła u siebie dziwną do tańca gotowość. Więcej: poczuła w sobie mocny do tańca poryw. A co dziwniejsze, przeczuła odrazu wszystkie ruchy, jakie w tańcu tym musiałaby wykonać. I wiedziała, że jeśli wyrzuci w górę obie ręce, poda je czemuś nieznanemu.

Podczas słoty kolorowo było na ulicy. Tramwaje, biegnąc po zalanych wodą szynach, wiodły za so-

bą świetliste odbicia. Samochody pomnożyły latarnie. Pannie Walerji, która nie ochłonęła jeszcze z przestachu, zdawało się, że pędzi pośród sunących gwiazd. Dzwonki, zgrzyty, gwizdki, tupot nóg i pluskanie deszczu wiązały nad głową panny Walerji siatkę dźwięków. Panna Walerja nie zechciała ani przez chwilę z tej siatki się wymknąć. Owszem, raczej to, niż tamto cichutkie, uporczywe bzykanie.

Po dłuższej chwili panna Walerja, nawykła czas niepogody przepędzać w swoim ciepłym pokoju, otworzyła szerzej mokre od deszczu oczy i zaczęła przyglądać się nieznanemu światu. Była na ulicy. Na jakiej to ulicy?

Pannie Walerji nie przyszło jakoś do głowy, spojrzeć na tabliczkę na rogu, albo poprostu na którąkolwiek z latarni, oświetlających numery bram. Spoglądała na wystawy sklepowe, na widne za wielkimi szybami wnętrza kawiarni. Napewno widziała je po raz pierwszy.

Panna Walerja nie zdawała sobie sprawy, że wogóle poraz pierwszy w ten sposób spojrzała na miasto. Nie czuła żadnego związku pomiędzy sobą, a tem wszystkim, co ją otaczało. Zdawało się jej, że znalazła się oto nagle pośród tego rozgwaru, jak zupełna cudzoziemka, a nawet jak ktoś, przeniesiony z innej planety.

Nie było to, zresztą, uczucie przykre. Owszem, wprawiało pannę Walerję w rozkoszne podniecenie. Mogła tak iść przed siebie, wszystkiemu obca, przesuwać się jakgdyby zzewnątrz pośród kolorowych smug i głośnych podźwięków, nie biorąc w tem wszystkim najmniejszego udziału. Okrążyły ją ruchliwe światła i cienie, ogromne jakieś domy, coś, co mogło być Warszawą, mogło być wogóle miastem, a nawet i całym światem. W pewnej chwili podniosła głowę i zobaczyła na szarawem tle nieba ciemne, nawisłe chmury. Widok ten oczarował pannę Walerję. — Oto jest niebo, oto świat — pomyślała, — a ja żyję i idę jakąś ulicą.

Dookoła panny Walerji w jedną i drugą stronę śpieszyli ludzie. Panna Walerja zwróciła na nich uwagę i ujrzała podniesione kołnierze i rozpięte parasole. Wówczas ze zdumieniem zrozumiała, że padał deszcz i od razu poczuła, że nogi ma zupełnie przemoczone. Wróciła przytomność i fala goryczy zalała serce panny Walerji. Oto do czego doszłol! Zamiast siedzieć spokojnie w domu, błąka się po ulicach w deszcz i zawieruchę, jak jaka warjatka.

Panna Walerja rozejrzała się ze wstydem naokoło, czy nie ujrzy wlepionych w siebie oczu przechodniów. Ale nikt na nią nie patrzył. Wtedy poczuła się nagle zupełnie bezbronna, nędzna, zbiedzona i zblakana. Zapragnęła ciepła i ochrony przed deszczem. Zapragnęła jakiegokolwiek z ludźmi porozumienia. Mijała właśnie drzwi jasno oświetlonej kawiarni. Już chciała wejść, aby rozgrzać się filiżan-

ką czekolady, ale wporę spostrzegła, że nie wzięła ze sobą torebki. Należało przecie wracać do domu.

Panna Walerja rozejrzała się po ulicy i nareszcie poznała, gdzie jest. Ogarnęło ją nanowo przeżalenie, że mogła zająć tak daleko, nic o tem nie wiedząc. Trzęsąc się z zimna, smagana wiatrem, powlokła się do domu, lejąc łzy strachu i upokorzenia. — Wyrzucę te muchy, wyrzucę te przebrzydłe muchy, — powtarzała sobie cichutko wśród łkań.

Jakiś wyrostek, przechodząc obok niej, zaśpiewał: „Rafałek, jeszcze kawałek” — i panna Walerja wybuchnęła bolesnym śmiechem.

Wróciła do siebie znękana i zupełnie rozbita. Zgasiała światło, żeby nie spojrzeć przypadkiem w lustro i nie ujrzyć znów roztarganych włosów i zapłakanej, obcej twarzy. Muchy milczały. Panna Walerja rozebrała się pociemku i wpełzła pod kołdrę. Chwyliła zębami róg poduszki i zanosła się okropnym płaczem.

Na drugi dzień Rafałek i Dulcinea nie zostały jednak pozhawione ciepłego kąta. Ów płacz przed zaśnięciem przyniósł pannie Walerji uspokojenie. Nie była przecie warjatką, żeby tak ni stąd ni zowąd, a mówiąc wyraźnie — ze strachu, wyrzucać z pokoju te dwie biedne muszki. Owszem, zjawiły się, niechże sobie będą, jak długo im się podoba. Panna Walerja zupełnie normalnie nie będzie im poświęcać więcej uwagi.

Biuro dobroczynnie ufundowało mocniej spokój panny Walerji. Że zaś rozumniej jest obcować z ludźmi, niż z muchami, panna Walerja wyjęła żądło z serca i pogodziła się z panną Heleną.

Ta wesolutka Helenka miała jakieś tam sprawy do załatwienia. Ot — garsonkę. Czyby tak panna Walerja nie zechciała pochodzić z nią po sklepach? Panna Walerja przystała od razu. Ułożyły cały plan popołudnia: panna Walerja wprost z obiadu spotka się z panną Heleną w pobliskiej cukierce. Potem — wędrowka po sklepach. Potem — kolacyjka u panny Heleny. Na zakończenie: kino.

Postępując w ten sposób, panna Walerja ani przez chwilę nie była wystawiona na próby owych nierozumnych ćwiczeń, wykonywanych w towarzystwie Rafałka i Dulcinei w czterech zacisznych ścianach swego pokoju.

Wróciła do domu późnym wieczorem. Zapaliła odważnie światło. Much ani śladu. Panna Walerja, zdejmując kapelusz, uśmiechnęła się do siebie w lustrze.

Potem, spokojna i trochę zmęczona, rozpoczęła przedspoczynkową krzątanie. Nawlekając wstążeczki w koronkę koszuli, pomyślała z przyjemnością, że ma dwie nieprzeczytane książki, a nazajutrz jest niedziela. I, zasypiając, roześmiała się cichutko, wspominając niedawne biedy.

Przyszło nazajutrz i przyszła niedziela.

Budzik trzaskiem nie przerwał błogiego snu. Godziny upływały. Panna Walerja, wyciągając się pod ciepłą kołdrą, raz poraz zapadała w słodką drzemkę. W jednej z takich przerw, rzuciwszy sennem okiem na okno, dojrzała przez szparę w firankach kawałek dachu, ubielony śniegiem. Przyszła wreszcie Józia zapalić w piecu. Panna Walerja rozbudziła się zupełnie i, leżąc nawznak, oddawała się z rozkoszą lenistwu.

Ogień huczał za przymkniętymi drzwiczkami pieca. Czerwone węgielki szczyrzyły zęby do panny Walerji. Nasturcje płomieniły się, jak zawsze, nad łóżkiem panińskim. Fotel wyciągał rozłożyste ramiona. Na krzeselku różowiła się świeżutka bielizna. Przytulny i miły był to pokój. Panna Walerja czuła się zupełnie wypoczęta i radosna, że już minęła wreszcie ta—ta zmora ostatnich dni. Nieustraszonem okiem powiodła po ścianach, po suficie. Niel niema nigdzie ciemnych, maleńkich punkików. Niema Rafałka,

niema Dulcinei, i żaden dźwięk nie przecina monotonnego tykania budzika.

Panna Walerja odrzuciła wreszcie kołdrę i wsunęła nogi w miękkie pantofle. Spojrzała na zegarek i zabrała się do porannej krzątany. Krzątała się lekko, rzekłbyś, fruwała po pokoju. Znów uśmiechnęła się, czesząc się w lustrze, i otrzymała wzamian pogodny uśmiech twarzy „jeszcze niczego“. Wkładając pończochy, zanuciła cichutko i roześmiała się, bo zanuciła mimowoli: „Dulcineo, otwórz drzwi...“

W pogodnym tedy zupełnie nastroju panna Walerja spożyła śniadanie i wyszła przejść się przed obiadem. Szła panna Walerja dobrze znaną ulicą i dziwiła się mocno, wspominając dziwny obraz miasta tamtego dżdżystego wieczoru. Jakże? Oto są zwykłe domy, oto chodnik, ubielony śniegiem, a ona sama jest maleńką cząsteczką tego dobrze znanego kawałka miasta.



11 LISTOPADA W PARYŻU

(od naszej korespondentki)

Podobno dnia tego niebo nad Polską było dziwne niebieskie, a słońce oświeślało radośnie obchód dziesięciolecia odrodzenia Państwa Polskiego.

Podobno.

W Paryżu dnia tego było mgliście. Deszcz padał. Lśniły puste jezdnie na Champs Élysées, Etoile i Concorde. Rozpięte w kształcie wachlarzy trójbarwne chorągwie melancholijnie powiewały na wietrze. Tłumy przepełniały chodniki. Czerwono-niebiesko-białe kwiatki zdobiły prawie każdego obywatela. Paryż zdążył na rewję, upamiętniającą dziesiątą rocznicę ukończenia Wielkiej Wojny.

„Armistice“.

Szły wojska za wojskami środkiem wspaniałej, szerokiej alei.

Niebieskie mundury i mundury „khaki“.

Powiewały czerwone piuropusze uczniów z Saint Cyre.

Lśniły od deszczu zwykłe, szare hełmy szturmowej piechoty.

Wznosiły się dumnie wysokie czapy Gwardji Narodowej.

Jechała konnica.

Dudniły armaty artylerji.

Orkiestry grały przepiękne marsze, pamiętające jeszcze Napoleoniejskie czasy.

Niesiono barwne sztandary.

A tłumy patrzyły na ten batalistyczny obraz poprzez cieniutką, ruchomą siateczkę deszczu,—deszczu, który nie ostudzał bynajmniej romańskiego temperamentu. Bito brawo! Wołano! Cieszono się!

Cieszono się, bo ukończona wojna tak wiele Francji dała!

Cieszono się, ale pamiętano jednak o tych, nad którymi groza wojenna przeszła.

Pod łukiem Arki Triumfalnej grób Nieznanego Żołnierza zarzucono dnia tego kwiatami...

Po kościołach—pomniki, na których widniały napisy: „Soldat Français mort pour la Patrie“, otaczały setki migocących świec, zapalonych ręką tych, co nie zapomnieli...

A na chodnikach rzucano centymy i franki w czapki skulonych postaci, które kikutami bębniły w bębny—pobudki wojenne.

Cieszono się, ale pamiętano o tych, nad którymi przeszła groza wojenna.

* * *

Kolonja polska w Paryżu dnia tego obchodziła uroczystie swoje Święto Niepodległości.

O godzinie 11-ej rano w kościele polskim St. Honoré odbyło się uroczyste nabożeństwo.



Przed kościołem St. Honoré w Paryżu — P. Ambasador Chłapowski z żoną, w otoczeniu skautów i członków polskiej kolonii

Czy wy wiecie, tam, w Polsce, co to znaczy w ogromnym, francuskim (że się tak wyrażę) Paryżu, znaleźć się po długich miesiącach naraz wśród samych swoich, usłyszeć wokół poszept polskich rozmów, a nad ołtarzem, na tle biało-amarantowych chorągwi i gronostai, zobaczyć rozpięte skrzydła białego orła?

Białego orła... i tych tam skautów ze sztandarem... i te krakowianki w barwnych kieckach, i te białe skrzydła siostrzanych kornetów, i te czarne berety nad różowymi buziami dziewczynek z Zakładu św. Kazimierza, i mundury, mundury naszych oficerów i tłum... nasz tłum!

O godzinie 11-ej przybył do kościoła Ambasador Chłapowski z małżonką, zajmując przeznaczone dla siebie miejsce w Presbiterjum.

Mistrz ceremonii w srebrzysto-czerwonym fraku i stosowanym kapeluszu dał znak rozpoczęcia uroczystego nabożeństwa.

Zabrzmiały organy, wszedł kler w pontyfikalnych szatach. Wyjątkowo pięknego kazania wysłuchano z przejęciem i skupioną uwagą.

Na zakończenie cały kościół rozebrzmiał wspólnym, gorącym hymnem dziękczynienia: „Boże, coś Polskę...”

Hymnem, który w latach niewoli był jękiem, smutkiem, błaganiem i rozpaczą, a stał się obecnie radosnym dziękczynieniem!

...„Ojczyznę w o l n ą pobłogosław, Paniel..”

Rozjeżdżano się.

Odjechał Ambasador Chłapowski.

Zniknęły za drzwiczkami samochodów lśniące cylindry naszej dyplomacji i szare czapki naszych oficerów.

Deszcz padał.

* * *

Miedzy godziną 3-cią, a 5-tą, w Salonach Reprezentacyjnych Ambasady (12, Avenue de Tokio) Państwo Ambasadorstwo Chłapowscy przyjmowali Kolonję polską i naszych oficerów z rodzinami.

* * *

Wieczorem, o godz. 8½, w Sali Instytutu Oceanograficznego odbyła się Akademia ku uczczeniu dzieściolecia Odrodzenia Rzeczypospolitej.

Poprzez zaciszny 6-ty Arrondissement zdążyły grupy Polonji paryskiej. Mijały cichy w niedzielny wieczór bulwar St. Michel, mijały klasyczne gmachy Sorbony i Panteonu, mijały osypujący złoto jesiennych liści Ogród Luksemburski, mijały malutką oberżę polską (Bartka), gdzieś zagubioną w bocznej uliczce; wstępowały do rześńście oświetlonego hall'u Instytutu Oceanograficznego, a wkońcu — zapełniały szczerlnie, amfiteatralnie ustawione, ławki wykładowej sali.

By zapomnieć, że jesteśmy w Instytucie Oceanograficznym, zasłonięto częściowo freski ścienne (przedstawiające szafiry morza Śródziemnego i pulsujący życiem pokład okrętowy) sztandarem purpurowym z białym orłem. Mnie osobiście freski nie przeszkadzały, nasuwając reminiscencje szarego Bałtyku i naszej Gdyni—naszego dorobku rzeczywistego za te lat dziesięć.

Estradę ubrano zielenią. Za stołem, nakrytym zielonem suknem, zasiadł Ambasador Chłapowski oraz prelegenci. Lampki, o zielonych kloszach rzucały refleksy na twarze tych, którzy tu, na emigracji, dużo pracują, myślą i czują.

Zagaił Akademię przewodniczący, dr. Henryk Gierszyński. Słuchano go tak, jak się słucha pokolenia dawnego, które cierpiało beznadziejnie, które jęczało w więzieniach i umierało na Sybirze... Słuchano ze czcią i ze wzruszeniem.

Potem przemówił Ambasador Chłapowski. Przemówienie to wywarło wrażenie mocy, siły i zapалу. Widziało się w nim to, co, jako w reprezentancie odbudowanej Polski — widzieć się pragnie: chęć pracy, czynu i miłość ojczyzny. Nie było w tem przemówieniu ani smutnych refleksyj, które budziłyby ferment rozkładowy, ani zniechęceń, ani wątpliwości. Przeciwnie: duma z tego, co się dokonało — wiara w to, co się dokona.

W tym samym duchu przemówił Radca Wład. Neuman. Kazał nam wierzyć, że „szklane domy” Żeromskiego budują się. Kazał nam cieszyć się z rozkwitu Ojczyzny. Dziesięć lat—i co za imponujący rozrost cyfr! Szkolnictwo! Przemysł! Rolnictwo! Wojsko!... Port, nasz port!.. Patrzyliśmy przez ten długi, dziesięcioletni okres czasu na codzienność życia państwowego, nie dostrzegając jego ciągłego wzrostu i kwitnienia. Pan Neuman ukazał nam plastycznie owocność tego zmuśnego, długiego dorobku. Kazał nam cieszyć się i... ucieszył nas głęboko.

Po przemówieniach nastąpiła część koncertowa, składająca się na ogólne miłe wrażenie: „powiewu z kraju“, „wiatru od morza“.

Węc P. Szreniawa wybrała do deklamacji entuzjastyczny „Psalm nadziei“ Krasńskiego i „Polsko!“ Staffa.

Chór Miłośników sceny Polskiej pod batutą p. Fiszera nadzwyczaj miło i swojsko zaśpiewał kilka piosenek, jako to: „Warszawianka“. „Przylecieli sokołowie“ i t. d.

Pan Drzewiecki zagrał nam brawurowo „Taniec polski“ Różyckiego, oraz preludja Szopenowskie, a p. Niemczyk zachwyił głębokim tonem i sentymentem swoich skrzypiec. Sarasate, Kreisler i Tartini w jego interpretacji porwali tak publiczność, że nie chciała się z nimi rozstać.

Kolonja polska w Paryżu pod niezmiernie miłym i podniosłym wrażeniem opuszczała Akademię.

Widziano przed oczyma radosną wizję odrodzonej, potężnej Ojczyzny, cieszone serca stęsknione i rozchodzono się „po paryskim bruku“ do domów, unosząc odgłosy pieśni, tonów i urywki myśli, rzuconych z mównicy.

J. Pułlatycz-Suynowa.



SPORT I WYCHOWANIE FIZYCZNE

Ślotne i dżdżyste dni jesienne zmusiły najzapałsze zwolenniczki sportu do rozstania się z boiskiem. Praca przeniosła się do sal gimnastycznych i tam musi pozostać przez szereg miesięcy zimowych.

Zaniedbać jej nie wolno!

Zaprawa zimowa odgrywa bardzo ważną rolę w sporcie, z czego doskonale zdają sobie dziś sprawę wszystkie nasze ćwiczące kobiety. Niestety! posiadamy jeszcze zamało sal gimnastycznych i w mniejszych miastach odczuwa się ich brak bardzo dotkliwie. Przeważnie korzysta się z sal szkół i gimnazjów państwowych w godzinach, wolnych od nauki.

Gimnastyka i gry mają największe zastosowanie w okresie miesięcy zimowych. Narciarki z utęsknieniem oczekują śniegu i mrozów i one jedne nie martwią się, że lato już przeszło. Jesień chcą wykorzystać na trening przygotowawczy; w tym celu zorganizowały sobie gimnastykę i biegi naprzelaj.

W większych ośrodkach narciarskich Komisja Kobieca przy Polskim Związku Narciarskim powołała

referentki do opieki i organizacji narciarstwa kobiecego. A więc: we Lwowie — dr. Dąbrowska; w Krakowie — Popielówna; w Zakopanem — Schielowa. Praca idzie żywo, gdyż narciarki pamiętają o Międzynarodowych Zawodach Narciarskich, które odbędą się w lutym w Zakopanem, i godnie chcą reprezentować barwy polskie.

Przekorna natura może wypłatać figla: według przepowiedni górali, zima w tym roku ma być wyjątkowo lekka: prawie bez śniegu i nie mroźna. Łagodna jesień zdaje się potwierdzać te wróżby, którym też przytakuja myśliwi z powodu małej puszystości futra u zwierząt. Nasze optymistki-narciarki nie tracą jednak nadziei, że narty założą i do walki ze współzawodniczkami staną.

Tempo i zapał, z jakim wzięły się do pracy przygotowawczej, każe im wróżyć pomyślne wyniki i ziszczenie pragnień.

Ostatnie dni przyniosły trochę wiadomości, już nie z boisk i bieżni, a więcej „mieszkaniowych“.

Pannie Konopackiej została wręczona Wielka Honorowa Nagroda Sportowa za najlepszy indywidualny wynik sportowy w roku 1927. Uroczystość, chociaż oficjalna, miała charakter domowy. Komisja Nadawcza Nagrody, z przewodniczącym Komisji p. płk. S. G. Ulrychem na czele, wręczyła piękny puchar (proj. Stryjeńska) p. Konopackiej w jej własnym mieszkaniu przy ul. Grochowskiej.

Wręczając nagrodę, płk. Ulrych powiedział parę serdecznych słów naszej Mistrzyni, nazywając ją po prostu „dzielną dziewczyną“.

Prócz pucharu, który jest nagrodą przechodnią, wręczony został dyplom, artystycznie wykonany przez p. Bogdanowicza. Urządzone przez p. Konopacką śniadanie zakończyło w serdecznym nastroju oficjalną uroczystość.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej, chcąc podnieść wartość wychowania fizycznego i sportu w ogólnym wychowaniu obywateli, gościł na zamku w dniu 2-im grudnia r. b. „Olimpijczyków“, przedstawicieli ruchu wychowania fizycznego, zasłużonych organizatorów sportu, Radę Naukową W. F., działaczy i propagatorów sportu.

Polski Komitet Olimpijski, korzystając z bytności „Olimpijczyków“ w Warszawie, wręczył „zasłużonym“ pamiątkowe żetony i dyplomy. Z zawodniczek otrzymała żeton tylko p. Konopacka, gdyż inne zawodniczki w swych konkurencjach zwycięstw nie zdobyły.

Chcąc rozwinąć akcję wych. fizycznego wśród kobiet na całym obszarze Rzeczypospolitej, Państwowy Urząd W. F. i P. W. stworzył referaty kobiece w każdym D. O. K. Referaty te zostały obsadzone od 1-go listopada r. b.

W zeszłym tygodniu odbyła się odprawa referentek, na której szczegółowo omówiony został zakres

pracy kobiet na prowincji. Praca ta dotyczy wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego kobiet. Dzięki zorganizowaniu aparatu kobiecego, prowincja będzie mogła systematycznie i planowo rozwijać tę akcję wśród kobiet, znajdując pomoc i poparcie u referentek.

W dziedzinie wychowania fizycznego kobiet jest to bardzo duży krok naprzód, gdyż dotychczas ta praca była bardzo dorywczo prowadzona. *M. Mitobędzka.*



TEATR NARODOWY.

„Lelelew” — dramat w 5-ciu aktach *Stanisława Wyspiańskiego.*
Reżyserja *Emila Chaberskiego.* Dekoracje *Wincentego Drabika.*

Niepowodzenie powstania listopadowego było wynikiem dwoistości pojęć, przekazanej wszystkim rewolucjom europejskim XIX wieku przez Wielką Rewolucję Francuską. Ta dwoistość dotyczyła w pierwszym rzędzie formy rządu powstańczego. Żywe wspomnienie sukcesów Napoleona, który właściwie dał rewolucji zwycięstwo i zaszczepił ją w całej Europie — stwarzało wiarę w dyktaturę. Natomiast niezadowolona demokracja widziała w dyktaturze i w każdym rządzie jednostki tyranję, która hasła rewolucyjne przydusi i skępuje wolność i równość społeczną.

Dla rewolucjonistów czystej krwi było więc władztwo jednostki umniejszeniem ideałów, które w silnej ręce dyktatora, choćby i walczącego o wolność, musiały się skurczyć i co najwyżej służyć tylko własnej jego ambicji. Stąd też powstanie listopadowe jest nie tylko wysiłkiem militarnym, nie tylko bohaterstwem z pod Stoczka, brawurą Grochowa i Ostrołki — ale i żywiołowym zmaganiem się przekonań politycznych.

Wojna i walki polityczne — więc czyn i dialektyka — stworzyły ową, w rezultacie szkodliwą, wieloplanowość powstania listopadowego. Dla grup politycznych nie istniał, bowiem, jeden jedyny cel: wyswobodzenie z pod obcego panowania, — ale było tych celów więcej. Nie przyniosłoby to, zapewne, szkody sprawie powstańczej, gdyby w realizowaniu politycznych zamierzeń przyjęto następstwo czasu. Ale zarówno demokraci („jakóbini”), jak monarchiści („tyrani”), chcieli jednocześnie zwyciężyć najeźdźcę i zwalczyć przeciwników politycznych. Tymczasem

bezwzględność ambicji politycznych musiała osłabić wojenny front. Już to samo, że kaprys i upór polityczny wyznaczał naczelnych wodzów powstania, wodzów, którzy gubili sprawę biernością, niewiarą, kunktatorstwem i niedołężnością. Czarторыski i Lelelew — dwaj reprezentanci wrogich obozów politycznych — grzeszą zacierstwieniem, które zaślepia.

Dramat Wyspiańskiego „Lelelew” jest właśnie walką dialektyczną obu leaderów. Relacja Dembińskiego o upadku powstania na Litwie podnieca obu mężów stanu — do szermierki słów. Zapewne, głębszy i bardziej uduchowiony, bardziej wieszczyl jest Lelelew; ale Lelelew, marząc według recepty romantycznej o rządzie dusz, nie może się wyzbyć demagogicznego temperamentu, wierzy bowiem w daleko siężny rzut szau. Egotyzm Czarторыskiego jest bardziej realny, ale już sama akcesoryjność tronu, jego blask zewnętrzny stwarza w ks. Adamie nastroje marzycielskie, które obniżają znaczenie symboliki królewskości i rozgrzewają ambicję osobistą.

Widzimy ich w dramacie Wyspiańskiego w „Rządzie pięciogłowym”, obu — zdrajców, spiskujących cichcem dla swojej idei, obu wrogów, którzy w momencie rozstrzygającym gotowi są poświęcić cel główny: powstanie.

Jest jednak między tymi dwoma przeciwnikami myśli politycznej 31-o roku zasadnicza różnica, rzecz można, psychiczna. Czarторыski wierzy w powodzenie powstania, gdyby on sam w koronie Jagiellonów stanął na czele. Lelelew — nie wierzy w zwycięstwo, oszołamia się tylko własną intuicją, która mierzy już w przyszłość. I dla tej przyszłości, niewyznaczonej czasem, chce beznadziejnego czynu.

I właśnie, gdy na programach teatralnych, zapraszających publikę warszawską na „Fra Diavolo”, ktoś mściwą ręką wypisał nazwiska tyranów i zdrajców, godnych szubienicy — gdy właśnie klubowcy Lelewela przygotowują kontrrewolucję, — Lelelew potrafił rzecz polską wynieść ponad partje, ponad osobistą zawziętość. Mówi do Czarторыskiego:

„Rzuć precz, precz djadem!
bądź sam, jak owe duchy — archanioły,
co lud wiodą, a ludu mnogość ich się śladem
stęskniona garnie.”

I oto następuje coś, co jest znamienne dla tej epoki rewolucyjno-romantycznej: Czarторыski daje się porwać słowom przeciwnika. Podkreślam: słowom!

„Zrzekam się, oto dziś się wyrzekam korony,
której chciałem; lecz, Panie, serc daj mi legjony!
Niechaj serca powstaną, serc tłumy powstaną,
niech wyzwią mnie wołaniem:... „Od morza do morza
ma być Polska wskrzeszona!”

To zejście się i duszne zbratanie Czarторыskiego z Lelewelem jest punktem szczytowym dramatu

Wyspiańskiego. I moment ten byłby zapewne punktem zwrotnym w powstaniu. Ale jest przekleństwo przeszłości, jest owoc szaleństw i błędów, pychy i prywaty. Klubowcy wyrwali już z rąk Lelewela rząd dusz i działają sami. Rewolucja w mieście niszczy porozumienie wodzów partyjnych — („a oto się zmaca, oto się łamie czar.“).

Lelewel wie: „To moje winy dawne“.

A książe Adam wyznaje: „Moje pychy, żądze..“

Niepojęty dotąd genjusz Lelewela, ten słowiański, entuzjastyczny, sam z sobą łamiący się genjusz, który sercem — przemyśli, uczuciem — zbuduje, a myślą — sięga w przyszłość, — nęcił Wyspiańskiego tragizmem psychicznej dziwności. Lelewel pójdzie, bowiem, z rewolucją i jeszcze raz zdradzi siebie dla ekstazy chwili, złączy się z szaleństwem — aby wypełnić się los.

A potem zdradzi jeszcze raz trzeci — swoich przyjaciół, aby uratować Czartoryskiego. Zarzuci mu Dembiński: „Pan — żebyś swoich zdradzał...“ Lecz wtedy dopiero usłyszymy wyznanie Lelewela, wtedy dopiero poznamy jego wielkość, wyzwoloną z walk, błędów i nieporozumień:

„Dla mnie moich niema!
Zdradzam tych, którzy czystość dusz swoich skazili.
Bóg, co mi serce dał, zdradzić mi każe; —
jeno nie zdradzam Polski!“

Wyspiański oczyszcza Lelewela z potwarzy, wyprostowuje jego drogi polityczne, wyszlachetnia jego metody. Lelewel, znający „wszystkie tajnie serc“, znający swoją smutną dolę kłęski, — posiada skarb proroczych wizyj i dlatego jego tragizm nie jest załamaniem się:

„Jest Przeznaczenie, które nami rządzi... aż się ziści
tajnych wyroków czas...
Jest tajemnica,
która te właśnie nasze i błędy
stłumi.
Jest czyn,
który umysły roztargnione zwiąże...“

Teatr Narodowy wysilił się na przedstawienie zwarte i logicznie skonstruowane. Nie było przesady reżyserskiej w tej powadze, która stawała się chwilami przyciężka. Świetna scena pod koniec aktu trzeciego była naprawdę rewolucyjnym krzykiem i ekstazą. Artyści jednak niezupełnie sprostali zadaniu. Odrzuć niepotrzebnie wzięli fortissimo, zwłaszcza p. Szymański, jako generał Dembiński, raził patosem doprawdy bezdusznym. Brydziński w roli Lelewela miał świetne momenty, ale wielkości bohatera nie pojął. Chmieliński, jako książe Adam uniknął szczęśliwie drażniącego patosu, ale niepotrzebnie ucharakteryzował się na starca. Nawet tekst jego roli sprzeciwiał się siwym włosom: „Niechaj mnie siwizna jeszcze w walce zastanie“... Role kobiet wypadły błdziutko, bo też lalczkowatość Lindorówny zawsze się upozuje na Anielę ze „Ślubów panieńskich“.

TEATR MAŁY

„Murzyn warszawski“ — komedia w 3-ech aktach
Antoniego Słonimskiego. Reżyserja Karola Borowskiego. Dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Temat komedji Słonimskiego jest już niemal odwieczny, a mimo to zawsze jeszcze aktualny. W literaturze polskiej traktowano zresztą sprawę żydowską z pewnym sentymentem, bodajże od „Lejby i Siory“ Niemcewicza poczynawszy, a na „Małce Szwarcenkopf“ Zapolskiej skończywszy. Były, oczywiście, i złośliwe satyry, które przeciwstawiały się filosemityzmowi „Mejera Ezofowicza“ Orzeszkowej — więc „Mechesy“ Gawalewicz, — ale były też wzruszające wiersze Gomulickiego obok zacieklej antysemitki Jeske-Choińskiego.

Wynurzenia Słonimskiego są z natury rzeczy bardziej śmiałe, bardziej jaskawe i bardziej bezpośrednie od tego, co się dotąd pisało u nas o żydach — w transkrypcji literackiej. Drażliwości, podane przez Słonimskiego w dowcipnym sosie, stają się lekko strawne, a doskonałe typy mają walor teatralny, mimo, że architektonika sztuki nie jest „teatralna“.

Bohater „Murzyna warszawskiego“ Konrad Hertmański vel Hertman — należy do kategorii typów ko-



P. P. Kawińska i Czaplińska w „Murzynie warszawskim“

medjowych, oscylujących ku tragiczności. Bowiem śmieszność Geldhabów, czy skąpców Molierowskich nie jest jedynie osobista: za nimi stoi cała armia nieszczęśliwców, napiętnowanych komizmem, a w gruncie cierpiących i krzywdzonych. Jak w tragedji, ponoszą przecież karę za swoje winy, za winy, które rozmieszają.

Przestępstwem ich jest zakłamanie, załganie się. Ale w chwili, gdy zjawiają się przed nami, załganie stało się już prawdą ich życia. I wtedy są już tylko smutnem widowiskiem.

Słonimski, wprowadzając nas w środowisko żydowskie, potrafił zróżnicować typy i dać galerję postaci, popularnych w społeczeństwie żydowskiem. Więc Perlman (najsympatyczniejszy), słusznie mieniący się „kameralnym żydkim”, sentymentalny sceptyk; Mietek syn Konrada, jako próbka bez wartości moralnej, okaz młodego pokolenia; żona Hertmańskiego, tępą w swojej prostocie i niepodatności asymilacyjnej; córka Zaza, stworzonko ledwie myślące, ale nieszkodliwe.

Komedja Słonimskiego jest przeładowana świetnemi zresztą kawałami (nałóg feljetonisty!), jest też nieco rozwlekła, ale autor odniósł mimo to sukces i to może nawet nietylko sezonowy. Mam wrażenie, że Konrad Hertmański pozostanie w literaturze, jako typ, a komedja — jako dokument czasu.

Typowość postaci sprawiła, że aktorzy mogli doskonale spełnić swoje zadanie. Stanisławski, Maszyński, Wesołowski, Grabowski, Kawińska, Czaplińska grali koncertowo.



V. Blasco Ibanez „Kwiat Majowy” przekł. F. Baturewicz
Polski Instytut Wydawniczy „Sfinks”.

Wbrew przewidywaniom, pachnący tytuł tej książki — to tylko nazwa taniego tytoniu, przemycanego na barkach rybackich z Algieru do Walencji. Kontrabanda ta należy w pojęciach nadmorskiej ludności do wyczynów jaknajbardziej rycerskich, nad którymi, jak i nad całym swarliwem a nieszczęsem życiem ubogiego plemienia, handlującego rybami — roztacza opiekę święta figura Chrystusa z Grao. Imieniem „Kwiat Majowy” zostaje też uroczyscie ochrzczona barka, narodzona ze szczęśliwie dokonanego nielegalnego transportu tytoniu. Losy jej wplątują się jednakże w katastrofę rodzinną właściciela, który

ginie w niej razem z wiarołomnym bratem, z poczućmi znieważonego ojcostwa w burzliwym natarciu morza na rodzinne wybrzeże. W tej swojej, dorywczo dla odcinka „el Pueblo” pisanej, książce Blasco Ibanez dał nam doskonały przekrój tragicznych zmagają ludności rybackiej ze zmiennym losem. Konflikt erotyczny, wynikający między braćmi z powodu kobiety, oddany jest świetnie. Opis rybnego targu, walki żony krzywdzącej i pokrzywdzonej, zniewala epicką bestronnością, a tragiczny okrzyk „babci Picores” na widok tonących braci: „Co — jeszcze ryba za droga?! Dziesięć razy tyle powinna kosztować!..” zapada w głębi duszy czytelnika.

Feliks Holländer „Przebudzenie” (2 tomy)
przekład W. Popławskiego.

Autor słusznie uczynił, wywodząc losy Donalda Westhafa od owej tragicznej nocy, kiedy Łucja von Tessin zamknęła księgę fałszywych pozycij życiowych ucieczką z domu, którego była światłem i duszą.

Bez tego epizodu nie bylibyśmy zrozumieli małżeńskiego przymusu, jaki zaciężał nad życiem córki jej, Leni, ani fatalnej, czy błogosławionej, konieczności przyjsia na świat Donalda. Po kądzieli nawskroś ludzkiego buntu odziedziczył Donald niepohamowaną konieczność odnajdywania siebie na wszystkich torach okoliczności życiowych: w nienawistnym rygorze szkolnym, służalczym terminie u lichwiarza, w namiętności, w więzieniu i karjerze bokserkiej. Wydobywa siebie z pod gruzów wszelkich katastrof, by wreszcie odnaleźć pomocną dłoń Olgi, tak dawniej dumnie odtrącającej, i zrealizować „krajnię więźniów”, myśl, powziętą w godzinach pozornego upadku, który, jak wszystkie zdarzenia tego życia, stał się tylko punktem wyjścia djogenesowych poszukiwań człowieczeństwa w obrębie własnej jaźni.

Książka ta jest odskocznią najszlachetniejszych dążeń człowieka: odnalezienia i zadośćuczynienia wielkości duszy.

Pierre Frondaie „Woda Nilu” przekład K. Mayzłówny.
Instytut Wydawniczy „Sfinks”.

Książka ta jest terenem zmagania się najszlachetniejszego elementu męskości, jakim jest prawosć, z całym spletem fałszywych, dwuznacznych sytuacji, wynikających z kompromisowości bohaterki. Walka, podsycana z jednej strony prawdą do głębi uświadomionej miłości, z drugiej — gorączkowym strachem przed utratą bogactwa i stanowiska, — jest zgóry przesądzona. Zwycięża kompromis i gasi w duszy kobiecej uczucie, od pierwszej chwili hodowane w cieniu obawy ujawnienia. Powieść jest efektowna, z posmakiem sensacji, którą podkreśla w egzotyczne ramy oprawiony teren akcji.

Stefan Barszczewski „Marion”. Wydawnictwo Arcta.

Pogodne, bezpretensjonalne dzieje „wędrowki” polskiego kapitana, który zostaje traperem w podbiegunowych terenach złota i ropy i odnajduje w ubogiej chacie francuskiego osadnika wyrównanie sił duchowych, nadszarpniętych przez wojnę. Zadanie to spełnia Marion—metyska, wdzięczny i czysty w duchowym zarysie prymityw puszczański.

Powieść ta, (dość naiwna zresztą, nie odznacza się głębszymi walorami, czyta się jednak łatwo i miło, dzięki zdrowej atmosferze, którą autor otacza jej bohaterów.

Real Beach „Żelazny szlak”, przekład J. M. Taylora.

Autor podejmuje temat, możnaby powiedzieć, londyński: zmaganie się człowieka z najsurowszą postacią natury, jaką jest podbiegunowa kraina. Ujmuje jednak je od strony pionierskiego wysiłku w budowie kolei żelaznej, doprowadzając do mety amalgamat szlachetności i siły woli irlandczyka O’Neila i pogłębiając niskie karierowiczostwo jego przeciwnika. Nie kusząc się o wydobywanie z głębi ciekawszych prawd psychologicznych, autor daje interesujący obraz stosunków przemysłowego świata amerykańskiego na kresach podbiegunowych i ożywia akcją pogodną, pełną humoru postacią dziennikarki, której sprężyste, dziewczęce ramie przyczynia się poniekąd do triumfu męskiej dzielności i siły.

W. B.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Feliks Holländer „Przebudzenie”—2 tomy, przekład W. Popławskiego. Warszawa. Biblioteka groszowa.

J. K. Huysmans „W drodze”—2 tomy, przekład K. Bobrowskiej. Polski Instytut Wydawniczy.

Pierre Frondaie „Woda Nilu”—przekład K. Mayzłówny. Polski Instytut Wydawniczy.

Blasco Ibanez „Kwiat Majowy”—przekład T. Baturewicza.

Grazia Deledda „Po grzesznej drodze”—2-a tomy. Biblioteka groszowa.

M. Librachowa i H. Selmowiczówna—„Pogadanki z dziećmi” pierwszy rok nauczania. Skład główny „Nasza księgarnia”.

Zofia Sokółowska „Nasza panienska”—Książnica-Atlas.

B. Kretowicz „Wiatr od Polski”—Związek Obrony Kresów Zachodnich.

Dr. A. Wereszczyński „Państwo antyczne i jego renesansy”—Lwów. Wyd. Zakładu naukowego im Ossolińskich.

Bolesław Szczepkowski „Niedźwiedź”—Gebethner i Wolff.

Zygmunt Kisielewski „Czyn, nie łza”—(rzecz o Górcie—dziecięcej kolonii leczniczej pod Buskiem).

— „Henio”—dzieje duszy polskiego chłopca.—Kronika Rodzinna.

W. Junosza Dąbrowski „Co każdy o boksie wiedzieć powinien”—Główna Księgarnia Wojskowa.

— „Co to jest sport”—Główna Księgarnia Wojskowa

Zdzisław Dębicki „Portrety”—serja II-ga. Wyd. Gebethnera i Wolffa.
Zofia Natkowska „Niedobra miłość”—wyd. Gebethnera i Wolffa.
Piotr Maszyński „Polski śpiewnik szkolny”—część V. Jasenka. Wyd. Gebethnera i Wolffa.

Nogniew „Pamiętniki Kosti Riabcewa”—Nakł. Red. „Mój przyjaciel”. Warszawa, 1928.

Hall Caine „Rudy Jazon”.

Leo Perrutz „Trzecia kula”.

Edward Welle Strand „Ludzie podbiegunowi”.

O-Henry „Rewolucja i miłość”—Biblioteka groszowa.

M. Hausnerowa „Zielone okiennice”—Ludowe Spółdzielcze Tow. Wyd. Lwów.

Kobieta w świecie i w domu

TURCJA PRYZNAŁA KOBIETOM RÓWNOUPRAWNIENIE POLITYCZNE

Rada gabinetowa prezydenta Turcji. Kemala paszy, postanowiła przyznać kobietom czynne i bierne prawo wyborcze. Turcja więc przyłączyła się już do ogromnej liczby państw, uznających kobietę, jako równouprawnioną obywatelkę.

N. J.

OPIEKA NAD DZIEĆMI ROBOTNIC ZOSTANIE ROZSZERZONA

Rozporządzenie w sprawie zakładania żłobków dla dzieci robotnic nakłada ten obowiązek na fabryki, zatrudniające ponad 100 robotnic. Obecnie Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej przystąpiło do przygotowania rozporządzenia, rozszerzającego zakres opieki nad dziećmi robotnic na fabryki, zatrudniające również i mniejszą liczbę robotnic. Według projektu, każda fabryka, w której pracuje ponad 5 kobiet, a mniej, niż 100, zobowiązana będzie do opłacania specjalnych składek miesięcznych od każdej robotnicy. Pieniądze te będą przeznaczone na urządzenie żłobków, które jednocześnie będą obsługiwały po kilka zakładów przemysłowych. Takie żłobki będą mogły być albo dzielnicowe, albo ogólne na całą miejscowość. W ten sposób rozszerzony zostanie zakres opieki nad macierzyństwem robotnic.

ILE WARTA JEST DOMOWA PRACA ŻONY

Praktyczne amerykanki uznały obecnie, że utarta formułka, iż mąż—głowa domu—„utrzymuje” rodzinę, jest niemożliwym przeżytkiem w stosunku do żony. Kobieta nie jest wcale w małżeństwie stroną, korzystającą bezpłatnie z owoców pracy męża, tak, jak np. dziecko z pracy rodziców. Nawet, o ile żona nie pracuje zarobkowo, zarabia jednak pracą domową na życie i wszystkie wygody, których sytuacja majątkowa męża jej dostarcza.

Robiono nawet bardzo dokładne obliczenie wartości tej pracy.

I tak: kobieta, która sama zajmuje się wszystkimi robotami domowymi, zarabia—ściśle podług cen rynku pracy za każdą jej godzinę: gotowaniem—10 dolarów tygodniowo, praniem—4, sprzątaniem—7, szyciem i naprawą bielizny—3, opieką nad dziećmi—8; razem—32 dolary tygodniowo.

Jest to sumka, za którą można się skromnie, ale przyzwoicie utrzymać. Inną jest rzeczą, że istnieją legjony kobiet, nie go-

tujących, ani piorących we własnym domu, ale to już inna zupełnie sfera społeczna. Ludzie ci, tak mężczyźni, jak i kobiety, wogóle z pracy rąk nie żyją. W rodzinach pracowniczych jednak, żona pracą domową zarabia w zupełności na swe utrzymanie. N. J.

PLEĆ PIĘKNA A ASTRONOMJA

Stosunek kobiety do gwiazd wydaje się napozór tak dalekim, że w powszechnem mniemaniu wyraża się on tylko w poetyckich przenośniach, lub wróżbach astrologicznych.

A jednak w rzeczywistości nauka astronomji nie jest umysłem kobiecym dziedziną obcą.

Miss Mary Proctor, córka znanego angielskiego astronoma, sama również biegła w tej gałęzi wiedzy, odbyła podróż propagandową po Ameryce w celu zebrania funduszy na urządzenie olbrzymiego teleskopu w obserwatorium w Kalifornji.—zajmuje się też gorliwie wydobywaniem na światło dzienne kobiecych zasług na polu astronomji.

Okazuje się, że były one w ciągu dziejów ludzkości dość liczne i niepowszednie. Pierwsza znana astronomka, greczynka Aganike — żyła w Tessalji w VI wieku przed N. Chr.

Przypisywano jej moc nadprzyrodzoną, gdyż umiała przepowiadać czas zaćmienia słońca.

Wielkiemu gdańskiemu astronomowi Heweliusowi ogromne usługi w pracach naukowych oddała jego żona; Keplerowi — jego przyjaciółka Marja von Lewen.

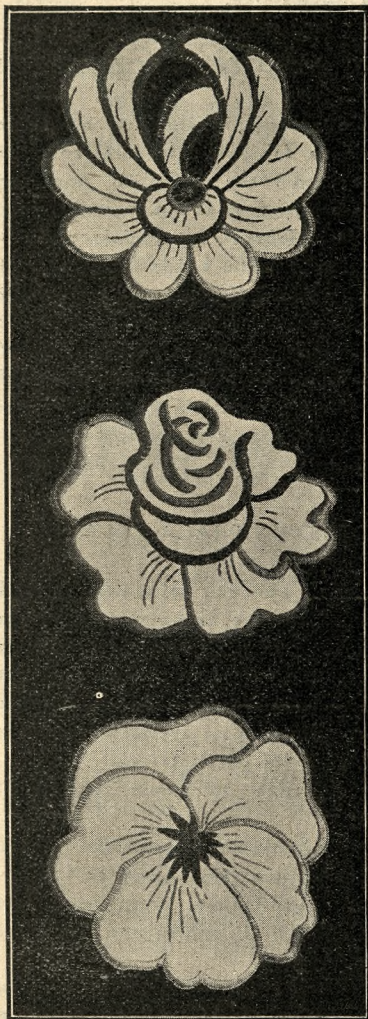
Samodzielnie pracowały w dziedzinie astronomji: francuzka Lepante, której obliczenia dały podstawę do określenia komety Halley'a; dalej Niemka, Karolina Herschel, która sama odkryła 8 komet i 9 mgławic; amerykanka Marja Mitchell, członek Akademji sztuki oraz odkrywczyni komety, nazwanej jej imieniem; wreszcie najślawniejsza, miss Annie Jump Cannon, autorka wielkiego dzieła, obejmującego klasyfikację gwiazd.

Znakomitą angielską astronomką była, zmarła przed kilku laty, Elżbieta Brown, wybitna obserwatorka zaćmień słońca, kierowniczka oddziału badań słonecznych brytyjskiego Towarzystwa Astronomicznego.

Bardziej znaną jest Mary Somerville, która swe prywatne studia doprowadziła do tej wyżyny, że to samo Towarzystwo mianowało ją swym członkiem honorowym. W gminie tego zrzeszenia pracuje obecnie 70 astronomek. Wśród nich zasługuje na wzmiankę Agnes Clarke, która wślawiła się nowemi tezami astronomicznemi i wydaniem podręcznika szkolnego.

W ostatnich latach zwróciła na siebie uwagę astronomów uczona francuska, Gabrijela Flammarion, wdowa po wielkim astronomie. Jako dyrektorka obserwatorium astronomicznego, prowadzi ona dalej dzieło swego męża.

PREMJJE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“



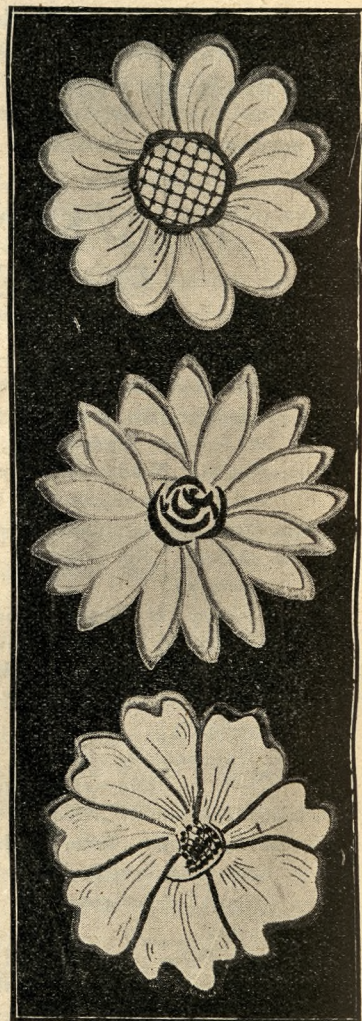
Każda z Pań, która w ciągu Grudnia wpłaci wprost DO NASZEJ ADMINISTRACJI

**PÓŁROCZNĄ PRENUMERATĘ
W SUMIE 34 ZŁ. 80 GR.**

**OTRZYMA BEZPŁATNIE JEDNĄ
Z NASTĘPUJĄCYCH PREMIJ
DO WYBORU:**

1. Pudełko znakomitych mydeł toaletowych wyrobu firmy **Fryderyk Puls w Warszawie.**
2. Butelkę wody kolońskiej znanej ze swych doskonałych wyrobów firmy **Fryderyk Puls.**
3. Sześć jednakowych serwetek - kwiatów (jak podane obok), 17 × 17 cm., najmodniejszych do ozdobnego nakrycia stołu — zaczętych, wraz ze wszystkimi dodatkami.

Opłacając półroczną prenumeratę, należy wymienić, która premja i pod jakim adresem ma być wysłana.



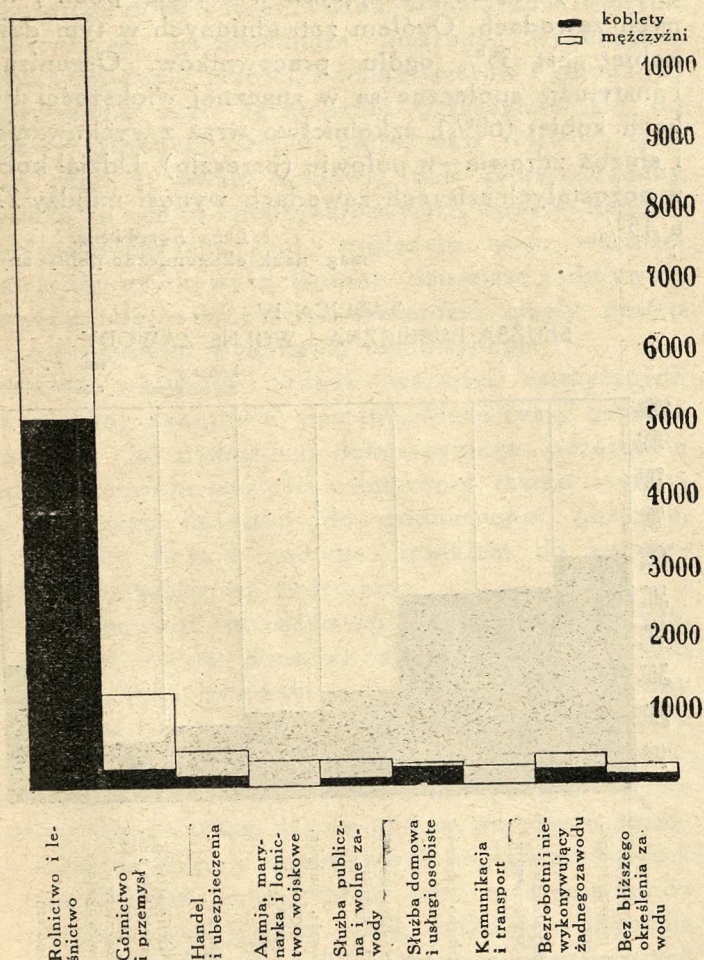
IŁOŚĆ ZAWODOWO PRACUJĄCYCH KOBIET W POLSCE

Znamieniem współczesnej idącej naprzód cywilizacji jest coraz większy podział pracy. Epoki rozwoju gospodarczego wykazują kolejno różne formy zróżniczkowania pracowników przy wykonywaniu pracy. Zależnie od różnych kryteriów, rozróżnia się: podział pracy według płci, podział pracy zawodowy, techniczny, międzynarodowy.

Podział pracy według płci jest pierwszym etapem wszelkiego zróżniczkowania pracowników, a polega na wykonywaniu innych prac przez kobiety, innych — przez mężczyzn. Podział pracy zawodowy dzieli wszystkich pracowników na szereg zawodów, nie odgrywa tu płeć z reguły (prawnie—w dzisiejszych czasach) żadnej roli; natomiast przynależność do danego zawodu uzależniona jest od najróżnorodniejszych danych osobistych, jak: siła fizyczna, wykształcenie, kierunek zainteresowań, wrodzone zdolności i t. p. Oczywiście, trzeba wziąć jeszcze pod uwagę różne zewnętrzne dane, które nieraz są powodem wyboru takiego, czy innego zawodu. Do tych przyczyn zewnętrznych należą: tradycja rodzinna, położenie społeczne, warunki ekonomiczne, intratność zawodu i t. p.

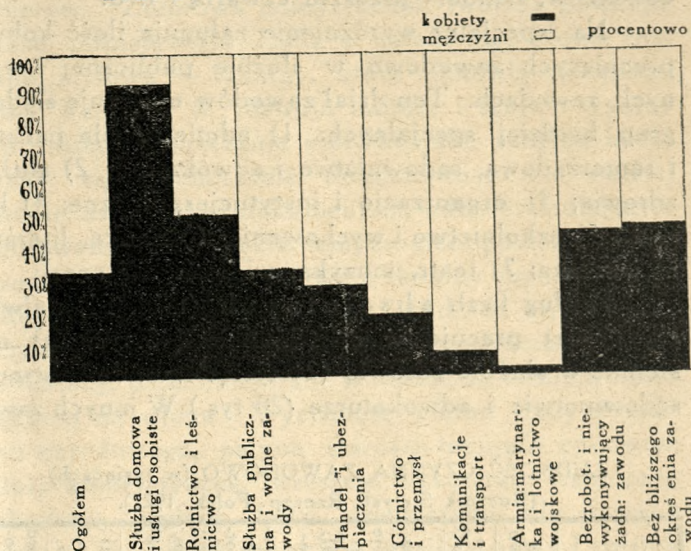
TABLICA I

LUDNOŚĆ POLSKI CZYNNIA ZAWODOWO (w tysiącach)



Stąd ilość kobiet, zatrudnionych w różnych zawodach, daje pewien obraz warunków, jakie panują w Polsce na polu zawodowym, przedstawia kierunek zainteresowań, zdolności kobiet i t. p.

TABLICA II
LUDNOŚĆ POLSKI CZYNNIA ZAWODOWO



Podział ludności na zawody w czasach pierwotnych był łatwy—wystarczyło nieraz rozróżnienie dwóch, trzech pojęć: myśliwstwo i rybołówstwo, rolnictwo, przemysł i handel i t. p. Dziś te pojęcia—to nie zawody, lecz działy gospodarstwa państwowego. Objęcie wszystkich odrębnych zawodów w czasach dzisiejszych jest rzeczą wprost niemożliwą, wobec istniejącej wielkiej ilości samodzielnych gałęzi i specjalności w pracach zawodowych. Dlatego dane statystyczne grupują pokrewne zawody w pewne działy, więcej lub mniej dokładnie określone. Statystyka polska rozróżnia siedem działów zawodów, a mianowicie: 1) rolnictwo i leśnictwo; 2) górnictwo i przemysł; 3) handel i ubezpieczenia; 4) komunikacje i transport; 5) służba publiczna i wolne zawody; 6) armia, marynarka i lotnictwo wojskowe; 7) służba domowa i inne usługi osobiste. Prócz tego jest dział: 1) bez bliższego określenia i bez podania zawodu i 2) bezrobotni i niewykonyujący zawodu.

Polska, jako kraj o strukturze przeważnie rolniczej, posiada, oczywiście, największą ilość ludności, zatrudnionej w rolnictwie. W tym dziale (wraz z leśnictwem) pracuje 10 milionów ludzi, a liczba zawodowo czynnych i biernych (t. znaczy wraz z tymi, którzy są na utrzymaniu osób pracujących) wynosi niespełna 17 milionów. Poważną liczbę 1 miliona 266 tys. daje przemysł polski wraz z górnictwem; inne zawody zatrudniają mniejszą ilość ludności. (tabl. I.)

Ciekawy jest udział kobiet w poszczególnych zawodach. W stosunku do całej ludności pracującej, ilość kobiet pracujących wynosi 33% (tabl. II). Zawodem, który prawie wyłącznie obsadzony jest przez siły kobiece, jest „służba domowa i inne usługi osobiste” (91%). Mieszkający na roli—kobieta, czy mężczyzna—

muszą z reguły trudnić się zawodowo pracą rolniczą; stąd udział kobiet w pracy na roli wynosi prawie 50% ogółu pracujących. Pozostałe zawody skupiają w sobie znacznie mniejszą ilość sił kobiecych. Służba publiczna i zawody wolne—trzecią część ogółu pracowników; handel—przeszło czwartą i t. d.

Na specjalne wyróżnienie załuguje ilość kobiet, pracujących zawodowo w służbie publicznej i wolnych zawodach. Ten dział zawodów obejmuje siedem grup bardziej specjalnych: 1) administracja państw. i samorządowa, sądownictwo i adwokatura; 2) służba zdrowia; 3) organizacje i instytucje społeczne; 4) kościół; 5) szkolnictwo i wychowanie; 6) nauka, literatura i sztuka; 7) teatr, muzyka, widowiska i sport.

Podług liczb absolutnych (tabl. III) najwięcej kobiet pracuje w szkolnictwie (48 tysięcy), następnie w służbie zdrowia (21 tysięcy), w administracji, sądownictwie i adwokaturze (20 tys.) W innych zawo-

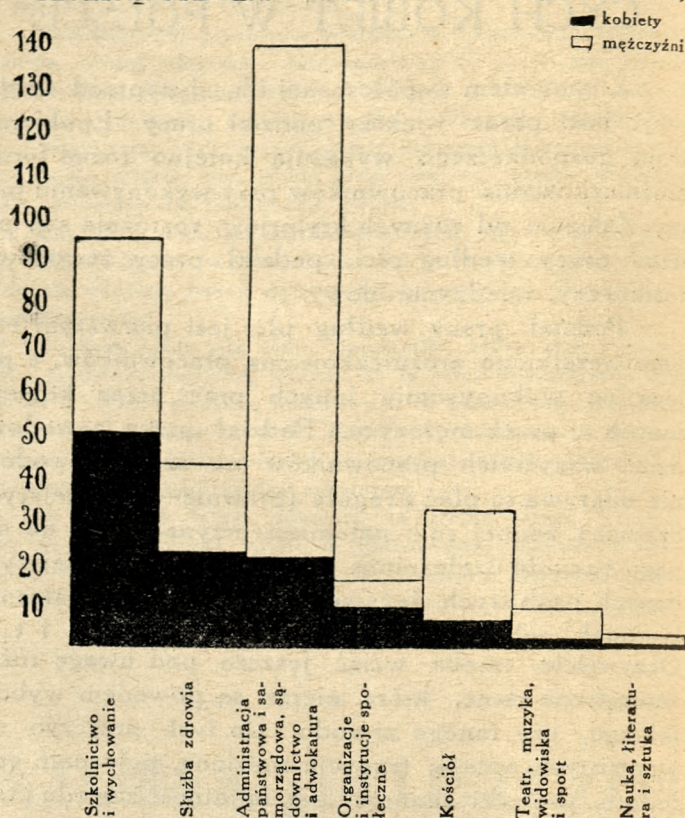
LUDNOŚĆ CZYNNA ZAWODOWO (w tysiącach)
(Rocznik Statyst. Rzeczp. Polsk. 1927).

ZAWÓD	Rolnictwo i leśnictwo	Górnictwo i przemysł	Handel i ubezpiecz.	Komunikacje i transport	Służba publ. i wolne zaw.	Armia, marynarka i lotnictwo woj.	Służba dom. i inne usługi osobiste	Bezrobotni i niewykon. żadn. zaw.	Bez bliższego okr. i bez podania zaw.
Kobiet	5122	240	144	17	107	7	250	183	113
Mężczyzn	5148	1026	375	227	220	343	25	236	132
RAZEM	10270	1266	519	244	327	350	275	419	245

SŁUŻBA PUBLICZNA, WOLNE ZAWODY (w tysiącach)
(Rocznik Statyst. Rzeczp. Polsk. 1917)

	kobiet	mężczyzn	razem
1) Administracja państw. i samorząd. Sądownictwo i adwokatura. Służba bezp. porady prawne	20	116	136
2) Służba zdrowia. Lecznictwo i służba sanitarna, weterynaria, kąpiele leczn., łaźnie, utrzymywanie porządku, grzebanie zmarłych	21	20	41
3) Organizacje i instytucje społeczne. Organizacje zawodowe i polityczne, dobroczynne itp.	9	6	15
4) Kościół	6	25	31
3) Szkolnictwo i wychowanie. Szkolnictwo powszechne, wyższe, średnie, zawod. przed i pozaszkolne	48	44	92
6) Nauka, literatura i sztuka. Instytucje naukowe, muzea, uczelnie prywatne, literatura, publicystyka, malarstwo i rzeźbiarstwo	08	2	3
7) Teatr, widowiska, muzyka i sport. Teatr, muzyka, kinematograf, cyrki, kabarety	2	7	9

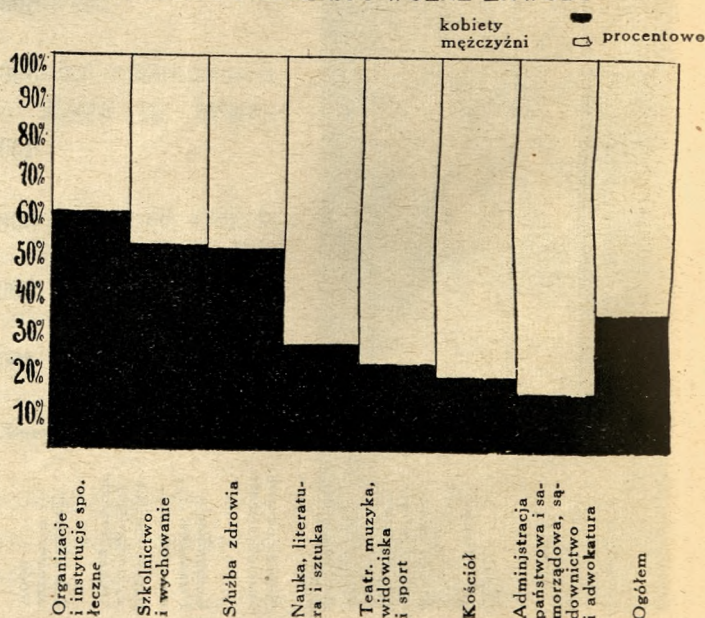
TABLICA III
SŁUŻBA PUBLICZNA I WOLNE ZAWODY (w tysiącach)



dach ilość kobiet pracujących jest poniżej 10 tysięcy. Zupełnie inaczej przedstawia się udział procentowy (tabl. IV) kobiet, pracujących w służbie publ. i wolnych zawodach. Ogółem zatrudnionych w tym dziale kobiet jest 35% ogółu pracowników. Organizacje i instytucje społeczne są w znacznej większości w rękach kobiet (60%), szkolnictwo wraz z wychowaniem i służba zdrowia—w połowie (przeszło). Udział kobiet w pozostałych czterech zawodach wynosi między 27% a 15%.

Lidia Kozakówna.
mag. nauk ekonomiczno-politycznych.

TABLICA IV
SŁUŻBA PUBLICZNA I WOLNE ZAWODY



TECHNIKA

1. Tkaniny.

Technika robót ręcznych rozwija się z dniem każdym — najrozmaitsze sposoby ulepszenia, tworzenie technik, opartych lub związanych z techniką malarstwa zdobniczo-ludowego, — wytworzyły cały szereg odrębnych zdobyczy technicznych w rozwoju robót ręcznych.

Podstawą do rozważań nad umiejętnością fachową wykonywania będzie materiał, którym się posługujemy. Należy więc w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę na jego wartość praktyczno-użytkową i estetyczną. Materiałem zasadniczym jest wszelkiego rodzaju tkanina, na której powstaje haft, мережка, aplikacja, batik i t. d.

Technika tkanin polega na skrzyżowaniu i splocie nici wełnianych, bawełnianych, lnianych, jedwabnych, metalowych i t. d. Powstała płaszczyzna, w zależności od zużytego materiału, staje się wiotką, lekką, sztywną, matową, połyskliwą i t. d. Kombinacje skrzyżowań gatunkowych i kolorystycznych dają nam tkaninę wzorzystą (w tkaninach wzorzystych drukowanych skrzyżowanie nici nie odgrywa roli: jest to technika czasów późniejszych, powstała, jako następstwo analogicznej techniki druku).

Terażniejsza technika tkanin opiera się na całym szeregu doświadczeń, badań, wynalazków, których rezultatem są najrozmaitsze maszyny, wykonujące niezliczoną gamę jakości, odmian wzorów i gatunków. Rozszerzenie skali technicznej przyczyniło się do masowej produkcji tkanin, które, jako wytwór ogólnych zapotrzebowań, stanowią dziś pierwszorzędną produkt na rynku międzynarodowych kwestyj handlowo-ekonomicznych. Pod względem więc wartości praktyczno-użytkowych tkaniny dzisiejsze odgrywają ogromną rolę; należy więc stwierdzić ciągły postęp w udoskonalaniu wykonania technicznego.

Pod względem jednak wartości estetycznych nie możemy zanotować postępu. Może czasy ostatnie i nawrót do malarstwa dekoracyjnego pozostawia ślady w rozwoju wartości estetycznej tkanin i staną się wyrazem dążności do podniesienia poziomu, a technika będzie jedynie środkiem do wyrażenia się pomysłowości twórczej.

W powodzi dzisiejszych tkanin ubraniowych, meblowych i t. d. odczuwa się silny brak udziału człowieka, jako jednostki twórczej. Zgóry narzucony szablon martwoty, możliwość powtarzania powielekroć jednych i tych samych wzorów — banalizuje najpiękniejsze nawet tworzywo wysiłku artystycznego. I wątpię mocno, aby, uważane dziś za piękne, wzorzyste żorzet czy crêpe de chine'y zaliczone być mogły kiedykolwiek w poczet dzieł sztuki. Mają one znaczenie praktyczno-użytkowe i, jako takie, całkowicie spełniają swe zadanie. Na pograniczu wartości estetycznych

i praktycznych załamuje się linja tworzenia maszynowo-fabrycznego, a indywidualnego.

Proste środki techniczne, jakimi rozporządzali ludzie epok minionych, nie pozwalały na wyrabianie tkanin w wielkich ilościach, tworzone latami jeden kobieriec. Zbiorowa pomysłowość twórcza pewnego okresu pozostawiała dzieła w całym tego słowa znaczeniu stylowe — tkaniny, które stanowią niezaprzeczony dorobek w rozwoju kultury i sztuki; tkaniny owe posiadają znaczenie nie tylko, jako zabytek historyczny: są jednocześnie dokumentem rzeczywistej wartości estetycznej, dokumentem, odzwierciedlającym zamiłowania, siłę uczucia, temperament poszczególnych narodów. Wystarczy zestawić tkaniny japońskie, gobeliny*), polskie pasy słuckie i t. d.; aż bije w oczy różnorodność techniczna i pomysłowo-twórcza. Wszelkie tkaniny, przechowywane w muzeach, działają swym pięknem na widza. Wyciśnięte piętno indywidualizmu narodowego, patyna starości, tonująca cudownie całość kolorystyczną, wreszcie wykonanie techniczne wzbudzają podziw ludzi dzisiejszych, dla których dzieła te są jakimś rekordem wysiłku pracy i ześrodkowaniem odczuć estetycznych.

Historja tkanin, oparta na wzmiankach kronikarskich i pozostałościach zabytkowych, daje nam możliwość ogarnięcia chronologicznego rozwoju techniki tkanin. W ramach niniejszego artykułu trudno wyczerpać cały materiał historyczny. Ograniczam się więc do podania paru wiadomości, związanych z historją tkanin w Polsce.

Wiemy, jak wielką rolę odgrywały tkaniny od najdawniejszych czasów. Makaty, dywany, koberce, wypełniały wnętrza pałaców magnackich i królewskich. Sprowadzano i kupowano w wielkich ilościach tkaniny zagraniczne, wiele też cennych tkanin pochodziło z łupów wojennych. Wschód i Zachód dostarczał bogatego materiału wzorów; ślady wpływów pozostały w późniejszych samodzielnych poczynaniach.

Wytwórnice miejscowe powstały w wieku XV. W Sochaczewie tworzy się cech kobierników, wyrabiających typowe dla Polski koberce. Tak zwane pasy słuckie są wytworem czasów późniejszych — słynnym dla nich okresem rozkwitu jest druga połowa wieku osiemnastego. — W r. 1750 Radziwiłłowie założyli w Słucku t. zw. pasiarnię, skąd nazwa pasów słuckich (z wieku XVII i XVIII zachowały się zabytki tkanin polskich i są do obejrzenia w Warszawskim Muzeum Narodowym).

Poza temi wzmiankami, które świadczą o rozwoju i poziomie tkanin polskich, możemy odtworzyć sobie historję innych tkanin, jakie wyrabiano samodzielnie dla potrzeb domowych. Powstawały przypuszczalnie,

*) Gobeliny — nazwa ich pochodzi od rodziny flamandzkich farbiarzy — Gobelinów, — po których Ludwik XIV kupił nieruchomości, aby założyć dom „Manufacture royale des meubles de la couronne”. W roku 1664 podobne zakłady powstały w Beauvais, istnieją one do tej pory.

najrozmaitsze odmiany gatunkowe i kompozycyjne. Ze spuścizny tych samodzielnych, typowych technik pozostały kilimy, łyżniki (wyrabiane do dziś przez huculów — technika, zbliżona do kilimu: skrzyżowanie grubych wałeczków nici daje tkaninę bardzo puszystą), batik, których technika jest analogiczniejszą rozwinięciem pisanek wielkanocnych, wszelkie tkaniny ubraniowe, poczynając od gatunków płótna lniwego, kończąc na pasiakach i t. d. i t. d.

Cywilizacja, łatwość nabywania tkanin fabryczno-maszynowych, wypierała stopniowo znużone tworzenie domowe — znalazły się jednak jednostki, obdarzone poczuciem estetyki i umiłowanie naszej przeszłości artystycznej, zaczęto więc wyluskiwać cenniejsze twory, aby przy pomocy dzisiejszych wiadomości technicznych kontynuować pracę poczynaną dawniejszych.

Technika tkanin wzorzystych, ściśle związana z haftem i wogóle robotą ręczną, powinna stać się dla nas cennym obiektem.

Należy zapoznać się możliwie z jak największą ilością odmian technicznych — nie ograniczając się jedynie do powierzchownego obejrzenia, lecz gruntownie zanalizować charakterystyczne właściwości — a w szczególności należy zwrócić uwagę na ustosunkowanie wzoru do kombinacji skrzyżowań nici. Umiejętność dobrania wzoru i odpowiednie zastosowanie wiadomości technicznych — stanowią za bardzo ważny czynnik przy ocenie wartości estetycznej, aby można było przejść nad nim do porządku dziennego.

Wanda Młodożeńcowa.

WALKA O PIĘKNOŚĆ*)

Piękność jest człowiekowi tak samo potrzebna, jak powietrze, słońce i chleb. Posiadając ją, możemy się cieszyć pełnią życia, możemy wyciągnąć z niego maksimum radości i szczęścia. Powiem nawet więcej: — człowiek piękny jest lepszy, szlachetniejszy. Rozumieli to doskonale starożytni grecy, umieszczając obok piękna — dobroć, mówiąc „piękny, a więc dobry”.

I dzisiaj jednak, chociaż nie mamy tego zrozumienia dla spraw ciała, co hellenicy, pragnęlibyśmy być piękni. Raz poraz odzywają się w nas marzenia o wiecznej młodości, o wodzie życia, przywracającej świeżość i stracone wdzięki. Z zazdrością omawiamy rzadkie fakty konserwowania piękności przez jakieś aktorki lub sportsmenki.

Za tęsknotą idą czyny. Niema bodaj kobiety, któraby nie używała mniej lub więcej sztucznych środków dla zachowania lub zdobycia piękna fizycznego. Wiele z nich znosi srogi udręczenie, aby zachować chociaż złudzenie piękna.

Ta olbrzymia rzesza kobiet, walczących o piękno, błądzi przeważnie po manowcach. Sądzi ona mylnie, iż jedynie tylko sztuczne środki wystarczą dla zdobycia piękna fizycznego. Jest to najszkodliwsze ze złudzeń. Sztuką można coś zakryć, zatuszować, — nigdy zaś zmienić to, co jest uwarunkowane pewnymi organicznymi przyczynami.

To też inną drogę, niezawodną, wskazuje nam Dr. J. Świtalska w swoim nowym dziele, wydanem pod nęcącym kobiety tytułem: „Mój system piękności i zdrowia”.

Nie mówi ona: „wynałazłam wodę życia, która przywróci wam piękność, młodość i zdrowie!” ale daje solidnie opracowane i gruntownie przemyślane wskazówki, informujące czytelniczki, co powinny robić, jakie trudy znosić, aby zdobyć to, co jest przecież największym szczęściem i bogactwem człowieka.

Dr. J. Świtalska jest entuzjastką powietrza i słońca. Uważa je ona za najlepsze kosmetyki. Czytając jej fachowe rozważania, ma się wrażenie, że odżywa wśród nas piękny duch czasów starożytnych. Cieszyć się należy, że znowu w naszych czasach zatriumfowała wreszcie tęsknota do siły, zdrowia i piękna. Heljocentryczne poglądy D-ra Świtalskiej spotkać się winny z powszechnym uznaniem i poparciem.

Oparwszy się na tak mocnej podstawie, Dr. J. Świtalska snuje dalej swoje rozważania i uczy nas, co, jak i ile powinniśmy jeść, aby zachować piękność i zdrowie. Chcąc ułatwić czytelniczkom skorzystanie z tych cennych rad, podaje kilka higienicznych jałospisów.

*) Dr. med. J. Świtalska — „Mój system piękności i zdrowia” Warszawa, Tow. Wyd. „Bluszcz”.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI RĘCE

Jedną z największych dolegliwości zimowych jest czerwoność i chropowatość rąk. Z chwilą nadejścia chłódów, nawet najładniejsze ręce wymagają starannej pieczy. Aby przez całą zimę rączki były idealnie gładkie i białe, trzeba zaraz po umyciu, nie wycierając zupełnie do sucha, jeszcze w wilgotne ręce wetrzeć troszkę kremu **Pâte des prelates-Perfection**, który wciera się do sucha i daje wprost idealne rezultaty. Nawet najwięcej zniszczone i zaniedbane ręce, już po paru dniach nabierają aksamitnej gładkości i delikatności. Jeżeli idzie o wybielenie rąk, to po wtarcu **Pâte des prelates**, przypudrować grubo pyłkiem wybielającym **Juvenia Candida**. Stosując środki powyższe, ręce zimę będą idealnie gładkie i białe, pomimo chłódów i mrozów.

M-me Erçèdes.

Środki tu wymienione nabywać można we wszystkich drogerjach i perfumerjach.

Skład główny: Perfection — Szpitalna 10 w Warszawie.

Ponieważ jednak należy się liczyć z faktami dokonanymi, t. j. z tem, że wiele kobiet zdołało już zniekształcić się pod względem fizycznym, więc, żeby przywrócić im straconą formę, autorka podaje, jakie ćwiczenia gimnastyczne powinny one uprawiać, aby odzyskać piękność i zdrowie.

Gimnastyka jest zresztą niezbędna dla wszystkich kobiet tak, że zazarówno te, które chcą być piękne, jak i te, które pragną niemi pozostać, muszą ją uprawiać.

Żeby ułatwić zorientowanie się w tych ćwiczeniach, autorka załącza szereg świetnie wykonanych tablic, ilustrujących, jak dane ćwiczenie winno być wykonane.

Stosowanie się do rad i wskazówek Dr. Świtalskiej nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Wymaga ono tysiąca drobnych poświęceń. Rezultaty jednak są niezawodne.

Trudno! żeby zdobyć bajeczną wodę życia, trzeba było drapać się na Sobotnią górę i to nie drogą prostą i wygodną, ale przez ciernie i głogi! O piękność trzeba walczyć w ciężkim znoju i trudzie. Wszystko co łatwo przychodzi, jest nietrwałe i kruche...

Szata zewnętrzna książki Dr. Świtalskiej jest nadzwyczaj piękna. Nie ustępuje ona najzupełniej tego rodzaju wydawnictwom zagranicznym. Składają się na to: dobry papier, czysty druk, liczne, doskonale wykonane zdjęcia oraz kolorowa, estetyczna okładka Norblina.

Styl autorki jest prosty, zwięzły i ściśle rzeczowy. Autorka ma jasno wykreślony cel i nigdy o nim nie zapomina. W dziele jej niema zbytecznych dygresyj i niepotrzebnych rozważań.

W walce o piękność przybył kobietom dzielny i umiętny szermierz. Życzymy mu jaknajwiększych sukcesów.

Dr. M. Strzelecka.

ŚWIĘTA

Czarowne słowo! napełniające serca dzieci i młodzieży radością oczekiwania rozrywek, podarunków, zabaw, i niepokojące trochę serca matek i ojców — w przewidywaniu prac, trudów, kłopotów i zwiększonych do niedających się przewidzieć granic, wydatków. Z unormowaniem wydatków stoimy w Polsce źle. Mamy wprawdzie przysłowie, które brzmi: „Według stawu—grobla” — jednak w życiu stosujemy je rzadko. Optymiści, patrzący na wszystko przez różowe okulary, uważają to za objaw dodatni. Twierdzą oni, że jesteśmy narodem par excellence arystokratycznym; że fakt, iż woźny biurowy, a raczej jego małżonka, na wilję musi mieć takie same trzy gatunki ryb (karpie koniecznie żywe!), jak doktorowa z pierwszego piętra,—a doktorowa musi obstałować taki sam majonez z łososia w najlepszej restauracji, ja-

ki jadła na przyjęciu u dyrektora trzech banków — ochroni nas napewno i nazawsze od rewolucji socjalnej! Widocznie bytność na cudownie granym w Teatrze Narodowym „Panu Jowialskim” nastroiła mnie na chętkę mówienia przysłowiami: „Zastaw się, a postaw się!” jest naszym ukochanym przysłowiem narodowym. Tradycja każe w czasie Świąt zapominać o rachunkowości: ponieważ nasi ojcowie i dziadowie mieli zwyczaj spożywać to, owo i dziesiąte, my musimy mieć to samo, ba! nawet więcej, — chociaż warunki ekonomiczne się zmieniły i nawet na dużo mniej nas nie stać. Czuję, że zaczynam zrzedzić i moralizować, jak jaka „ciotka narodu”, jak dowcipnie nazwała jedna z naszych utalentowanych powieściopisarek osoby, wiecznie ze wszystkiego niezadowolone. Raczej powinienabym, w myśl moich obowiązków praktycznych, dać jakieś praktyczne wskazówki do przejścia między tą Scyllą — chęcią urządzenia najwystawniejszych Świąt, a Charybdą — koniecznością niewydawania zbyt dużo. Otóż jedna jest tylko znana do tego droga: ułożenie budżetu, zastosowanego ściśle do rozporządzalnych środków, i jaknajściślej jego wykonanie. To nic, że zawsze mieliśmy całe kosze pomarańcz — teraz, gdy pomarańcze kosztują po dwa złote sztuka, będziemy mieli doskonałe jabłka po dwa złote za kilo. To nic, że z bakalii lubimy najbardziej daktyle, — wobec ich ceny 15 zł. za kilo, będziemy zamiast nich jedli krajowe marmeladki.

I to tembardziej, że wobec naszego biernego bilansu handlowego, musimy unikać kupna artykułów zagranicznych.

To nic, że zawsze mieliśmy indyka, — skoro nasz budżet nie pozwala wydać na niego trzydziestu złotych, będziemy się kontentowali gęsią, lub parą kaczek, co wyniesie równo połowę. Na wilję, zamiast sześciu, siedmiu lub trzech ryb, — zależnie od dotychczasowej tradycji rodzinnej, — damy jedną lub dwie tylko, lecz wybornie przyrządzone.

Każda praktyczna, a chętna gospodyni potrafi przyrządzić w domu tyle wybornych przysmaków, że bez kosztownych, kupnych bakalii prawie zupełnie obejść się będzie można. Że już przypomnę tylko: marmeladki owocowe domowe; różne rodzaje pierników; cukierki śmietankowe w różnych odmianach; orzechy w miodzie; owoce osmażane w cukrze i miodzie; makagigi, makaroniki i marcepany, itd. itd. Nie twierdzę wcale, że to wszystko darmo przychodzi. Przeciwnie, produkty na to potrzebne kupić musimy. Lecz jeśli włożymy w przygotowanie tych przysmaków trochę czasu i dobrych chęci, — a kiedy chodzi o dogodzenie małżonkowi i pociechom, jakąż kobietą przed tem się zatrzyma! — okaże się, że kosztują nas te łakocie połowę, a nawet trzecią część tego, co byśmy w cukierni na nie wydały. Nawet tam, gdzie rachować się z każdym groszem niema potrzeby — przysmarki domowe, szczególnie te tradycyjne, raz do roku jadane, smakują dużo lepiej od kupnych.

I słów parę o choince. Miłem wspomnieniem lat dzieciennych dla starszych, radością oczu dla młodszych, pierwszym, silnem wrażeniem estetycznem dla malusich—jest to drzewko, jaśniejące ogniami świeczek, połyskiem ozdób. Lecz poco, w imię tradycji, wycinać całe lasy? Mieszkańcy miast przesadzają się jedni przed drugimi w rozmiarach urządzanych dzieciom choinek; zamiast małych drzewek ustawia się w pokoju ogromne choiny, którym trzeba ścinać wierzchołek, gdyż pod sufitem się nie mieszczą.

Kupujmy malusie drzewka—a może, może przykład podziela i choć część większych drzewek będzie mogła dorosnąć na opał lub budulec.

Miałam pisać o Świątach, a wciąż marudzę i zrędzę. Cóż, kiedy nasza rzeczywistość codzienna o to woła. Co do Świąt, to mogę powiedzieć tylko, że jeżeli zawczasu o nich pomyślimy, oszczędzimy sobie na ogół kłopotu i pracy na dnie ostatnie. Przedewszystkiem, wszelkie podarunki, kupione wcześniej, wypadną taniej i lepiej, niż gorączkowo, przed samemi Świątami załatwiane. Chociaż nie bardzo wierzę w szeroko reklamowane „wyprzedaże” — jednak tu i owdzie można znaleźć jakąś gustowną resztkę, jakiś gustowny przedmiot: portmonetkę, torebkę, paseczek, po cenie przystępniejszej od zwykłych. Dalej, większą część łakoci świątecznych można nabyć lub wykonać w domu, na parę tygodni przed Świątami. Gorzej jest z zakupami drobiu, zwierzyny i ryb, w tym roku szczególnie. Zima bez śniegu i mrozów powoduje drożyznę ryb i niemożność przechowania przez czas dłuższy drobiu i zwierzyny.

Co do tej ostatniej jednak, to możemy nawet w tę brzydką słotę trzymać zamarynowane zajace i sarninę tygodni parę na balkonach lub w składach. Tylko nie w ulubionych przez kucharki piwnicach. Tam właśnie wszystko najbardziej tęchnie i psuje się. Strych jest lepszym składem od piwnicy — oczywiście, nie w czasie siarczystych mrozów, lecz właśnie na te ohydne, katar, kaszel i hiszpankę siejące, odwilże. Duże sztuki zabitego drobiu, o ile nie są paprozone, mogą też na chłodzie przetrwać parę tygodni, zawsze nie w zacieśnionem, lecz w przewiewnem miejscu. W mieście może to być balkon, na wsi — jakaś weranda. Zawsze należy je tylko lekko owinąć papierem i wieszać gdzieś na ścianie lub koło okna, aby chłodne powietrze ze wszystkich stron je ogarniało.

I jeszcze jedno: czyby u nas nie dało się wprowadzić zimnego, a przynajmniej nieskomplikowanego obiadu w pierwsze Święto? Każde pieczyście na zimno wybornie smakuje; legumin zimnych mamy całe setki; zresztą bakalie są jedzone w czasie Świąt w takich ilościach, że nikt do legumin nie tęskni. Zamiast gorącej jarzyny można przyrządzić cudowną, też jarzynową, sałatkę; barszcz może być przygrzany tylko; toż samo kielbasy lub bigos; zresztą, resztki z wilji dostarczą wybornych przystawek. Pani i służbie po pracowitym dniu wijnym odpoczynek taki stanowczo się należy. *Pani Elżbieta*



ROSÓŁ RYBNO - GRZYBOWY.

Przy wilji, w ciągu której zjadamy dwa lub trzy razy tyle dań, co przy zwykłym obiedzie, — specjalnie chodzi o zupę lekką, smaczną a posilną; toteż różne zupy rybne, zabelane z kluseczkami i grzybowe z kaszą powinny tylko tam znaleźć zastosowanie, gdzie wilja się kończy na trzech, czterech daniach. Jeśli jest ich więcej, musimy podać w filiżankach następujący rosół. Gotując sandacza, szczupaka, okonia czy inną rybę na gorąco lub zimno, mamy smak z ryby i z włośzczyzny, którego należy ugotować nieco więcej, niż wymaga konieczna potrzeba pokrycia nim ryby. Oddzielnie gotujemy dowolną ilość, koniecznie młodych, prawdziwych grzybków suszonych (np. na 12—15 osób 10 deka grzybków). Do rosółu z ryb dodajemy czwartą część grzybowego smaku. Otrzymujemy wyborny rosół, przypominający dobry buljon mięsny. Gdyby nie był dosyć czysty, można go sklarować paru białkami, przecedzić przez doskonale wyparzoną serwetę, znów zagotować i podawać z uszkami.

USZKA GRZYBOWE, PIECZONE.

Uszka, te upieczone we francuskim lub siekanem cieście, są równie smaczne, jak paszteciki mięsne. Robi się je w sposób następujący: dziesięć deka ugotowanych, młodych grzybków przepuścić przez maszynkę. Zasmażyć dużą, drobno pokrajaną cebulę w łyżce masła. Dodać grzybki, podsmażyć, wsypać pół łyżki maki, wlać pół filiżanki grzybowego smaku lub wody, zagotować i farsz ten ostudzić zupełnie. Ciasto francuskie, kruche lub siekane (doskonale zastępujące francuskie) rozwałkować bardzo cienko i pokrajać na pięciocentymetrowe kwadraty. Ciasta gotowego na tę ilość farszu trzeba mieć około pół kilo. W środek każdego czworokąta kładziemy łyżeczkę od kawy grzybowego farszu, składamy rogi ciasta w trójkąt, jak chusteczkę, i mocno zaciskamy brzegi. Owijamy taką chusteczkę koło małego palca i zmocowujemy dwa jej końce. Mamy gotowe, zgrabne uszko. Ustawiamy takie uszka na posypanej mąką blasze, smarujemy żółtkiem i pieczemy w dobrze gorącym piecu do zrumienienia.

ZIMOWĄ PORĄ TYLKO WYPRÓBOWANY
BOROL CENTRALNEGO LABORATORJUM CHEMICZNEGO
- - - zapobiega opierchaniu rąk i twarzy. - - -

CIASTO SIEKANE

Staroświeckie to, dzisiaj mało znane, ciasto może wybornie zastąpić do pasztetów, pasztecików, szarlotek i t. p. ciasto francuskie, a jest od niego o połowę tańsze. Na pół kilo mąki bierzemy ćwierć kilo masła, łyżeczkę soli, jedno jajko duże lub dwa małe (w ostatnim razie jedno żółtko pozostawiamy na posmarowanie) i pięć do siedmiu łyżek stołowych wody, zależnie od stopnia suchości mąki. Z mąki usypać na stolnicy stożek z dołkiem. W dołek włożyć masło surowe, dosyć twarde, wlać jaja i wodę. Tasakiem lub dużym nożem kuchennym siekać to wszystko, wciąż zagarniając mąkę do środka, aż uformuje się ciasto. Nie dotykając rękami, ścisnąć je nożem w bryłę, ułożyć na talerzu posypanym mąką, i wynieść na chłód, żeby stężało. Używać, jak francuskiego ciasta, i piec w bardzo gorącym piecu.

DROBNE SIELAWY LUB STYNKI SMAŻONE

Jeśli mamy do smażenia drobne rybki, zresztą w smaku wyborne, należy po oczyszczeniu naniżać je po sześć lub osiem na cienko wystrugane patyczki, przesuwając patyczek przez oczy. Osolić rybki, utarzać w mące i smażyć na obficie rozpuszczonym maśle lub szmalcu. Żeby się masło nie paliło, dobrze jest wlać do niego parę łyżek dobrej oliwy. Na półmisku układa się ładnie wraz z patyczkami i podaje z którąkolwiek z zielonych sałat lub też z czerwoną czy białą, kiszoną kapustą.

LESZCZ PIECZONY, NADZIEWANY

Na to można użyć tylko bardzo dużego, tłustego leszcza, wagi nie mniej niż cztery kilo. Po oczyszczeniu i nasoleniu, jak zwykle, nadziewa się go tak, jak kurczętą, czyli bułeczką tartą, masłem, koperkiem, pietruszczką i jajkiem, nie zapominając o soli. Na czterokilowego leszcza starczy ćwierć kilo bułeczki, 15 deka masła, dwa jaja, po garści zieleninki i kilka łyżek tłustego rosołu, aby farsz nie był za suchy. Rybę układa się na brytfannie na rozpuszczonym maśle, smaruje po wierzchu masłem i piecze w średnio gorącym piecu, polewając masłem, a potem nawet rosołem lub wodą, aż się ładnie zrumieni i od kości odstanie. Podawać z zielonymi sałatami lub czerwoną kapustą.

PIERNIKI: ORZESZKI CZEKOLADOWE

Pół szklanki cukru, pół szklanki miodu, dwa jaja, łyżeczka tłuczonych korzeni (cynamonu, goździków, ziela i t. p.), łyżeczka od kawy sody i tyle mąki, aby ciasto się dosyć twardo zagnieść dało. Formować z tego nieduże orzeszki, piec w średnio gorącym piecu. Zdejmuje z blachy, natychmiast, gorące jeszcze, maczać na widelcu w lukrze czekoladowym. Na lukier rozpuścić dziesięć deka czekolady, dziesięć deka cukru, cztery łyżki śmietanki lub mleka i łyżeczkę od herbaty masła.

Ulukrowane pierniczki kłaść na półmisek, leciutko posmarowany oliwą. Lukier powinien zastygnać natychmiast.

Jeszcze lepsze są te pierniczki, jeśli przygotowane ciasto przed użyciem postoi dobrą w misce.

MARMELADKI DUSZONE

Upiec kwaskowe jabłka (najlepiej antonówki), przefasować przez sito. Na dwie szklanki takiej marmelady wziąć półtora deka (piętnaście gramów) agaru (roślinnej żelatyny), pokrajać drobno, rozgotować w dwóch szklankach wody, dodać trzy szklanki cukru, gotować, dopóki się nie rozpuści. Zmieszać z jabłeczną masą i dwiema łyżkami soku wiśniowego lub malinowego dla koloru. Dodać na koniec noża cytrynowej soli (kwasku), parę kropel olejku cytrynowego lub ananasowej czy innej esencji. Wymieszać dobrze, wyłożyć na półmisek. Gdy zastygnie i stwardnieje, pokrajać w dowolne kawałki

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Aby zrobić obuwie nieprzemakalne — trzeba natrzeć podeszwy i skórę następującą przygotowaną maścią: oleju lnianego 450 gr., wosku żółtego 25 gr., żywicy 15 gr. — jeżeli obuwie czarne, dodać jeszcze sadzy 30 gr. Aby uodpornić przeciw wilgoci same podeszwy, trzeba nalać na podłużny półmisek ciepłego oleju lnianego, wstawić weń obuwie i trzymać tak długo, dopóki tłuszcz nie wsiąknie w podeszwy.

* * *

Dla uczernienia żółtych lub innych pantofli — jeżeli nie pomaga zamalowanie kilkorazowe czarnym atramentem, a następnie wyczyszczenie pomadką — trzeba użyć następującego środka: rozbić dobrze dwa żółtka i jedno białko, w łyżce spirytusu rozpuścić łyżeczkę cukru i dodać taką ilość sadzy angielskiej, aby utworzyła się gęsta masa — wymieszać dokładnie tę masę z rozbitymi jajkami i smarować obuwie. Gdy wyschnie — natrzeć pomadką i glansować szczotką.

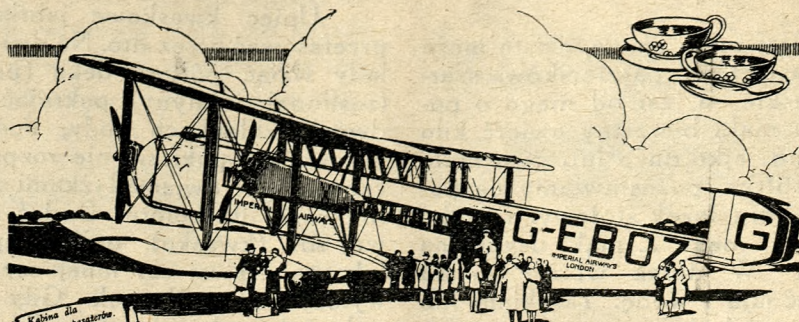
W roku bieżącym upływa 25-lecie działalności pedagogicznej Pani Zofii Sierpińskiej na stanowisku Kierowniczkii Szkoły Żeńskiej, która powstała w czasach niesłychanego naporu rusyfikacyjnego i ciężkich zmaganiach narodu z niszczycielskim działaniem zaborcy.

W uznaniu doniosłych Jej zasług w tak bardzo odpowiedzialnej dziedzinie wychowania publicznego, Rada Pedagogiczna Gimnazjum, przez Nią kierowanego, Rodzice uczennic, byłe Koło 73, oraz Komitet Tymczasowy, złożony z byłych wychowanek, — postanowili uczcić 25-lecie Jej pracy uroczystym obchodem w dniu 23 lutego roku 1929 — wzywają też gorąco do współdziałania tych wszystkich, których związały ze Szkołą pokrewne dążenia i umiłowania.



PROSZEK
„KOGUTEK”
DLA DOROSŁYCH
USUWA NAJUPORCZYWSZY
BÓL GŁOWY

CHCĄC NABYĆ PROSZKĘ NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻAŁĄC ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM” GASECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE, UPORCZYWIE POLECANIE, NAŚLADOWNICTWA W PODOBNYM DO NASZEGO OPAKOWANIU.



Flying

Samolot salonowy "Silver Wing" linii Imperial Airways

DNIA 25 sierpnia 1919r. udał się w drogę z Londynu do Paryża mały statek powietrzny. Był to samolot, zbudowany w celach wojennych, a potem przekształcony dla celów komunikacji pasażerskiej i objęty przez linię "Imperial Airways." A zatem ziszcilo się wreszcie to, co przez cały szereg lat było niedoścignionym marzeniem. Od tego czasu odbyta została droga długości 9.500.000 km. a ruch pasażerski wzmożił się w międzyczasie do tego stopnia, iż lotnisko w Croydon musiało zostać znacznie powiększone.

Dla publiczności, która pragnie przyglądać się przy filiżance herbaty startowi i lądowaniu samolotów, otwarta została obok lotniska cukiernia w ogródku, bardzo wykwintnie urządzona, ciesząca się wielkim powodzeniem.

Dla pilotów, zmęczonych wielogodzinną i pełną odpowiedzialności pracą, nieraz po ciężkiej walce z żywiołami, loty bowiem odbywają się niezależnie od pogody, a szybkość 145 km. na godzinę musi być utrzymana, jest prawdziwym pokrzepieniem filiżanka ożywczej herbaty Lyons'a.

HERBATĘ LYONS'a

podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.



WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA AGAŃSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY. CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIEKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA AGAŃSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Redaktorki: STEFANJA

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8. tel. 244-18.

Nasza Mównica

Pani L. Ch.—woj. łódzkie (w odpowiedzi pani M. Kowalskiej z Małopolski).

Tak, zupełnie słusznie: „odrodzenie Polski, ten epokowy fakt przemienił radośnie od podstaw do szczytów całe istnienie narodu. Rozszerzył horyzont naszych pojęć i zadań, stworzył nowy kompleks nowych praw, ale i wielkich, poważnych obowiązków, którym społeczeństwo musi podołać“...

Tak, zupełnie słusznie. Radosna rzeczywistość wysunęła postulaty, nieznane przed dziesiętkiem lat, stworzyła warunki, wymagające napięcia wszystkich organicznych sił poszczególniej jednostki, pragnącej utrzymać się przy życiu w tych nowych warunkach, które z kolei zrodziły nowe prawa i nowe obowiązki. „Wielkie, poważne obowiązki“... O, tak! dość jest rozzejrzeć się cokolwiek w stosunkach ogólnych, aby zrozumieć, jak wiele, jak bardzo wiele jest do zrobienia! Zdawałoby się, że tak dobrze rozumiemy, czego nam brakuje, tak przecież każdy z nas łatwo orjentuje się w potrzebach państwa, narodu, miasta, wsi, w której mieszka! Takie śliczne buduje plany, tak trafnie i ostro potrafi podkreślić błędy obce, iż, zdawałoby się, że jesteśmy wprost przeładowani zdolnościami twórczej pracy, chęcią wysiłku twórczego. Kiedy właśnie, niestety, jednego nam brakuje: przeświadczenia, że „tym wielkim obowiązkom musi podołać społeczeństwo“! Owszem, społeczeństwo może i powinno korzystać z wszelkich udogodnień, ma też prawo wymagać od tych, co stoją na jego czele, jak również od tych, co dobrowolnie od lat stanęli do pracy społecznej i ciężko harują całe życie w tym źle skleconym warsztacie, przy zgrzytających maszynach — ma prawo wymagać, by dbali jak najwięcej o wszelkie potrzeby tegoż społeczeństwa—ale ono samo... a, broń Boże! takie przecież zajęte, tyle ma własnej, zarobkowej, nieodzownej pracy, że gdzież tam!.. a zresztą, przecież i tak robota idzie!

I rzeczywiście „robota idzie“, praca społeczna trwa, powoli, lecz stale zakreślając coraz szersze koła, powoli, lecz stale wciągając nowe jednostki, mieląc je i przerabiając na „pracowników społecznych“.

W wielkiem mieście—nie mówię już o stołecznem—„zgrzytów“ społecznych może się w takim stopniu nie czuje, gdyż i szeregi pracowników są liczne i horyzont ogólny ludności pod pewnemi względami jest szerszy. Lecz proszę sobie wyobrazić pracę społeczną w małym, powiatowem miasteczku, liczącem do 12000 ludności, gdzie inteligencji, szczególnie tej, któraby mogła i chciała społecznie pracować, jest bardzo nie-

wiele. Reszta o ile nie tamuje wszelkimi siłami tej pracy, to przygląda się jej wielce obojętnie lub cieszy się, widząc niepowodzenie. W dodatku, od lat praca ta została zmonopolizowana przez grono osób, nadany jej został specjalny prąd i kierunek, i każdy, kto chciałby wnieść świeżą ideę, stworzyć nową placówkę, witany jest mocno „niewdzięcznie“. Ten, kto mieszkał przez pewien bodaj czas w małym miasteczku, zna dobrze te warunki pracy, i nie o tem chcę mówić tym razem.

Dla mnie najsmutniejszem jest to, że w tej atmosferze zacołania, uprzedzenia do każdej nowej pracy, braku szacunku do przekonań i zapatrywań innych,—wychowuje się społecznie kobieta-polka. Stosunki polityczne również nie mogą wywrzeć wpływu dodatniego, gdyż ogólne rozpolitykowanie na prowincji oddziaływa i na kobiety, zacierając w nich te cechy, które je pośród kobiet innych naradowości dotychczas szlachetnie wyróżniały. Prawda, że feminizm zdobył u nas nagle takie twierdze, zapanował tak wszechwładnie, że może to właśnie oślepiło biedne, do światła nieprzyzwyczajone oczy, i dlatego my dziś, wyzwolone i równe naszym wczorajszym „panom“, poruszamy się tak nieśmiało i jakby niechętnie, nie okazując nawet zbytnej chęci do korzystania z дарowanych praw. Może właśnie dlatego, że дарowane nam były, a nie wywalczone! Nie zdążyło dlatego zrodzić się w nas jeszcze poczucie obowiązku wobec społeczeństwa! Jakże smutne byłyby dane statystyczne, co do ilości społecznie pracujących kobiet w różnych miejscach kraju! Kobieta poczuła się wolną i „uświadomiła“ się, ale w tem znaczeniu, że jej wolno brać od życia wszystko, co się jej, jako jednostce prawnej i społecznej, należy, ale nie myśli o tem, że, jako taka, musi również państwu i społeczeństwu dać to, co się im od niej należy! Tego odczucia i zrozumienia jeszcze w niej niema. Pomimo wszelkie zewnętrzne objawy równouprawnienia, wewnątrz została ona, kobieta na prowincji, narazie jeszcze zupełnie tą samą, tak bardzo nieuświadomioną, jak była. I ręczę, że w takim małym miasteczku, jak nasze, nie znajdzie się pięciu kobiet, któreby miały inne zapatrywania na sprawy polityczne i społeczne, niż te, jakie im przez mężów narzucone zostały. Dlatego też wszelkie sprawy społeczne najlepiej zostawić do rozwiązania im, mężom, którzy się przecież doskonale zawsze obchodzili bez „babskiej“ pomocy. Co innego—urządzenie zabawy, bufetu na niej, ostatecznie—przedstawienia amatorskiego!..

Oto, gdzie jest teren do pracy nad uspołecznieniem kobiety:—te miasteczka, osady, które siecią kraj

pokrywają, bo stolica ma was tam wiele; a zresztą inaczej już wychowacie wasze córki, w innych postaciach je warunkach życiowych, wtedy, kiedy tu zostanie jeszcze długo kobieta traktowana tak, jak przed pięćdziesięcioma laty.

A czy znany jest wam stan sanitarny naszych miasteczek? czy macie pojęcie o tem, jak wygląda przeciętne podwórze i wszelkie mieszczące się tam zabudowania i ubikacje? Proszę mi wierzyć, że jednego spojrzenia wystarczy, aby się słabo mogło zrobić kobiecie, przyzwyczajonej do względnej czystości! A przecież tam, na tych podwórzach, w tych ogniskach wszelkiej zarazy, bawią się niezliczone rzesze przyszłych obywateli kraju, spędzając cały dzień na „świeżem” powietrzu! Widocznie jednak musi to być rzeczą naturalną, gdyż trwa dalej, a pozatem są przecież daleko ważniejsze sprawy do załatwienia, zabierające czas naszym ojcom miasta. Tu, w takim małym miasteczku, czy można marzyć o tem, aby do Rady Miejskiej weszły z czasem kobiety, czy wogóle marzyć można o wystawieniu kandydatki! Kto ją wystawi, kto będzie na nią głosował? Przecież nie ten olbrzymi tłum kobiet, prawdziwy tłum, niezespolony, nierozumiejący swych potrzeb, nieczujący nawet jeszcze swej siły! Jeżeli uświadomiony, to jedynie pod względem wszechwładnej królowej — mody.

Tu właśnie, według mnie, jest nasza najbardziej piekająca bolączka — jak obudzić te rzesze kobiet, śpiących po wsiach, osadach i miasteczkach? jak strząsnąć z nich tę wiekową ospałość i natchnąć je zapalem do budowania gmachu własnego państwa? Bo przecież z temi siłami, jakimi my tu rozporządzamy, stawać do takiego zadania, jak praca społeczna, — to to samo, co dziecinna łopatką kopać tunel w Alpach!

Dajcie nam radę, a przede wszystkim — pomoc!

P. Maryla Czerkawska — Rudenka.

Większość Czytelniczek „Bluszczu” zna zapewne książkę Marji Dąbrowskiej: „Uśmiech dzieciństwa” oraz inną, a, zdaje mi się, pierwszą tej autorki: „Czereśnie”. Do której z pań one jeszcze nie doszły, radzę przeczytać — naprawdę warto. „Czereśnie” są młodzieńcze, proste, najczarowniejszą prostotą głębokiej miłości; czyta się je z oczyma, pełnemi najczystszych, wprost z pod serca, łez. I dużo można się nauczyć, jeśli wogóle można się nauczyć dobroci i delikatności uczuć; o ile zaś te uczucia są przyrodzone, a życie przykryło je troską o chleb, kurzem szarpaniny codziennej, osnuło pajęczyną szarych kłopotów, — to „Czereśnie” napływowy muł z duszy usuną. I najistotniejsza dobroć rozbłyśnie podatna, wrażliwa i współczująca.

Dawałabym do czytania te książki właśnie przed Bożem Narodzeniem, którem się „Uśmiech dzieciństwa” zaczyna, przed świętem rodzinnem, przed świętem dobroci i miłości.

Nie każdemu dzieciństwo upłynęło wśród cichej, kolorowej wsi, ale każdy odnajdzie przynajmniej kilka tonów z bajecznej jego symfonii. Więc niechby

wszystkich owionął czar wspomnień, ciepło wnętrza rodzinnego domu, rzewność kolęd, biel obrusa i opłatka, blask choinki. Niechby zjawiły się wszystkie kochane postacie, odżyły wszystkie drogie głosy, powróciły światła, dźwięki, a nawet smak potraw, któremu nic nigdy nie dorówna — wtedy może łatwiej byłoby pamiętać o tych, którym nikt wspomnień nie stworzy. Może łatwiej byłoby wyrzec się czegoś, czegoś sobie odmówić, jakiś wydatek ograniczyć, zmniejszyć na korzyść biednych, najbiedniejszych. Wylizywać ich nie trzeba — smutne „embarras de richesse”!

Ktoś powie: zawsze, ciągle i bez przerwy wyrzekać się i dawać!? — Tak, tak — zawsze, ciągle i bez przerwy, dopóki każde dziecko w Polsce nie będzie miało własnej choinki, we własnym, rodzonym czy przybranym domu.

Ale to jeszcze mało: dawać — trzeba także odczuć, że nie ten, który bierze, jest szczęśliwy, lecz ten, który daje, ten, kto może dać.

Nietylko niech nie wie lewica, co daje prawica, lecz prawica powinna być lekka i delikatna w dotknięciu, by nie przygnieść, nie zaciężyć, nie ukazywać się zwysoka groźną, wspaniałomyślną i wielką, lecz raczej nieśmiało i — może wam się to słowo wyda przesadnem — pokornie. Trzeba jeszcze dary, jakiekolwiek one będą owinąć choćby w bibułkę miłości i nie dziwić się ze zgorszeniem, że ją zgniotą i rzuca — taki jest los bibulek — a pomyśleć, że może ktoś, jeden jedyny, wygładzi ją złoży starannie i schowa w pamięci wraz z bielą wigilijnego obrusa i chleba anielskiego opłatka — naszą nędzną bibułkę — pomyślcie — jaki zaszczyt!

A teraz — przeczytajmy „Czereśnie”.

P. Helena Ryszkowska — Siedlce.

Od lat kilku wyjeżdżam na letnisko w góry. Ze względów oszczędnościowych, jak również — co ważniejsze — aby można było używać niczem nieskrępowanej swobody, zdała od wszelkich konwenansów i ludzkiego gwaru; — nie korzystam z pensjonatów, lecz wynajmuję mieszkanie u górali. Mam więc możność zetknięcia się z ludem i czynienia spostrzeżeń. Naturalnie, że, jako nauczycielka, zaczęłam najpierw obserwować dzieci. Skonstatowałam, że są one przeważnie strasznie wątłe, drobne, blade i nierozgarnięte. Ale i dorośli nie wyglądają dobrze. Dużo ich jest o zapadłych klatkach piersiowych, bladych, kaszlących, niedomagających. Bezwzględnie najważniejszą rolę odgrywa tu brak warunków higienicznych.

Pierwsze — to brud. Chyba z 90% tych mieszkań, które oglądam co rok, wygląda tak okropnie, że zdumienie mię ogarnia, jak można je przeznaczać dla letników. Przecież przyjeżdżają tu ludzie z miast po zdrowie!

Są to przeważnie rodziny niższych urzędników, których względy materialne zmuszają do korzystania z mieszkań górskich. Uważam jednak, że bezwzględnie powinno się wymagać przestrzegania czystości. W ten sposób górale uczyliby się utrzymywać

czysto i własną siedzibę. Dużą rolę może odegrać propaganda szkoły.

Dość popatrzeć na ręce i nogi góralczyków, aby nabrać pojęcia, jak się przedstawia higiena ciała. „Masz tyle wody w pobliżu” — mówię do jakiegoś chłopaka pod Zakopanem — „a jesteś tak strasznie brudny...” „Kiedy woda zimna!” — odpowiada mi, słusznie zresztą. Ale, żeby trochę tej wody zagrzać, nie przychodzi do głowy matce, która uważa, że i tak dobrze, jak jest. Moja znajoma, która stale mieszka na Podhalu i oddana jest pracy nad ludem całą duszą, urządziła sobie niedawno prymitywną łazienkę. Pokazuje ją wszystkim góralom ze swojej wsi i z okolicy, zachęcając do naśladowania. Wierzy, że je znajdzie.

O tem, jak zachowywać zdrowie, jak bronić się przed chorobami, jak leczyć najprostsze niedomagania — nie mają górale pojęcia. Przykład, jeden z wielu: matka po wykąpaniu dziecka w ziołach, poleconych przez moją znajomą, wyniosła je w koszulinie przed chałupę i posadziła na ziemi, choć wieczór już zapadał. Nieraz zwykłe zajodynowanie, natarcie terpentyną, lub olej rycynowy — uchroniłyby od poważniejszej choroby. Do lekarzy wraz z chorobą nie zwracają się, bo nie mają zaufania i brak im pieniędzy. Szkoda wielka, że z pośród ludzi zamożnych nie znajdzie się taki lekarz, który mógłby pracować choć trochę bezinteresownie.

Poważnie przedstawia się sprawa nieracjonalnego odżywiania się. Wogóle wieśniacy jedzą potrawy jednostajne, ciężkostrawne i w zbyt dużej ilości; jednak odżywiają się lepiej, niż górale, nawet ci, którzy, mieszkając w uzdrowiskach, nie odczuwają niedostatku materialnego.

Latem 1927 r. mieszkałam u huculów. Zrana huculka gotowała olbrzymi garnek kuleszy¹⁾: na wrzątek wsypywała mąkę kukurydzową, dodawała odrobinę masła i mieszała drewnianą łyżką, aż utworzyła się gęsta papka, którą potem krajano nożem. Jedli ją gospodarze na śniadanie, najczęściej popijając mlekiem; na obiad było to samo (zimne) z dodaniem chleba; na kolację — znów to samo, dogotowywano tylko bób, lub kartofle²⁾. Podobno kulesza jest smaczna, nie próbowałam jej jednak, bo, patrząc na nią 3 razy dziennie, po tygodniu już nabrałam wstrętu. Słoniny, mięsa, kaszy, klusek — gospodarze nasi nie jedli wcale. Kilka razy na temat prowadzenia kuchni konferowałam z gospodynią; nawet, korzystając z niepogody, przyrządzałam skromne obiady, uwzględniając te potrawy, któreby mogła gotować nasza gospodyni: z owoców, kartofli, mąki. Częstowani gospodarze chwalili je bardzo, ale... poprzestawali na swojej kuleszy.

Ubiegłe lato spędziłam pod Rabką. Mieszkałam u bardzo zamożnego gospodarza. Co do odżywiania się — było to samo. Mleko i chleb — to całodzienne pożywienie. Najczęściej przez cały dzień ognia na kominie nie palono. Dopiero wieczorem koło 8 — 9 godz. gotowano kolację: kwaszoną kapustę z kartoflami, bób, kaszę i t. p. Nie dziwiłam się pięcioletniej Hani, która codziennie prawie skarżyła się, że jej „to jedzenie do gęby nie fce leźć!”

Muszę tu jeszcze o jednym wspomnieć. Górale przeważnie używają naczyń emaljowanych. W nich również tłuką kartofle, wskutek czego odbijają kawałki emalii, które razem z kartoflami zjadają. Sądzę, że tutaj szukać należałoby często przyczyn chorób żołądkowych.

Jaką znaleźć radę na to, aby było lepiej? O tem, aby przeszkolić dziewczęta w szkołach gospodarstwa domowego, narazie mowy być nie może: ze względu na warunki materialne i z powodu braku tych szkół. Wprawdzie uczynne Ziemiarki wysyłają tam swoje instruktorki na kilkotygodniowe kursy. Czy osiągają jednak należyty rezultat? Oto dziewczęta, które góralki dość chętnie oddały na jeden z takich kursów i wyposażyły, jak mogły, potrzebnymi produktami, po miesiącu tak miały „skotłowaną głowę”, że nie potrafiły w domu zrobić nic, czego się na kursie uczyły.

Nasunęło mi to myśl, że należałoby postępować inaczej. Największą rolę, sądzą, mogą tu odegrać nauczycielki.

Ministerstwo W. R. i O. P. urządza wakacyjne kursy gospodarstwa kobiecego. Niechby choć jedna nauczycielka z każdej szkoły góralskiej pojechała na takie kursy. Mogłaby później oddać wsi nieocenione usługi. Pracę jej wyobrażam sobie w sposób następujący: Co pewien okres, np. raz na miesiąc, nauczycielka byłaby zwolniona od zwykłych lekcji. Gromadziłyby się wtedy starsze dziewczynki, aby wysłuchać odpowiedniej pogadanki i aby z przyniesionych potrosze, a zapowiedzianych wcześniej produktów, przyrządzić projektowaną potrawę. Po pogadance nastąpiłyby zajęcia praktyczne. Władze musiałyby przyjść z pomocą, t. j. zaopatrzyć taką prowizoryczną szkołę w niezbędne naczynia, choćby w najskromniejszym komplecie³⁾. Potem dziewczęta praktykowałyby już w domu. Byłaby to nauka, rozłożona na dłuższy okres czasu.

Ale pewien rezultat byłby, a co najważniejsze, odpowiadałby psychice górala, który — jak wogóle lud — nie lubi gwałtownych przewrotów, nawet w „babskiem” gospodarstwie, ani zbytnej krytyki tego, co dotychczas robili starsi.

Tą samą metodą możnaby przejść kurs sprzątnia, porządkowania, urządzenia mieszkań, zapobiegania chorobom, pielęgnowania niemowląt i t. d. i t. d. Trzeba tylko nieco poparcia i życzliwego stosunku ze strony władz szkolnych dla tych, które, wierne swej idei, z sumiennością, a może nieraz i z entuzjazmem, tej pracy się podejmą⁴⁾.

¹⁾ Na cały dzień.

²⁾ Gospodyni miała 2 garnki: do kartofli i do kuleszy. Przez cały czas naszego pobytu ani razu ich nie myła!

³⁾ Czasem niewyczerpana pomysłowość nauczycielska dopomogłaby do ich zdobycia.

⁴⁾ Już po napisaniu tego listu znalazłam publiczne potwierdzenie swojej racji: prasa warszawska podniosła w ostatnich dniach fatalny stan zdrowia górali zakopiańskich, którzy wskutek niezachowywania elementarnych przepisów higieny masowo zarażają się gruźlicą od kuracjuszy. Sprawa więc wymaga istotnie jaknajszego zaradzenia.

P. Ela P. z Ujścia Zielonego, (w odpowiedzi pani Ninie z Warszawy).

Czy należy odsłaniać całą naszą głębię psychiczną? Nie mogłam powstrzymać się od wypowiedzenia, co o tem myślę.

A że myślenie u mnie jest dziwnie obrazowe, mimo, że Wschód jest mi obcy, a jeśli znany, to może w którymś z przeżyć poprzednich, dlatego i pisać będę tak, jak myślę.

Otóż wyobrażam sobie wciąż jeszcze wszystkie kobiety świata, bez względu na zdobyte ostatnio stanowiska i równouprawnienie, widzę je wciąż w nieprzeniknionych „czarczafach”, z za których oczy widać im tylko, a czasem zarys twarzy.

— Niemożliwe! — zadzwoniłby srebrny, wesoły śmiech dziewczęcy, — ostatnie kobiety walczą o zrzućcie tej zasłony!

Tak — odsłonięte mamy — twarze, ale nasza, jakże często przebogata, Psyche nosi od wieków wciąż jeszcze „czarczał” haremowy. I nosić go będzie — albo ja wiem, dokąd?

Zdaje mi się jednak, że już gdzieś wstaje wołanie, że już gdzieś legion kobiet podświadomie marzy o zrzućciu zasłony.

A zrzućmy ją dopiero wówczas, gdy „Oni” to uprawnią, czyli zaczną się interesować naszym „ja” — zaczną studjować, zechcą — znać.

Czy to dla nas szkodliwe?

O nie! napewno nie! Dopiero wówczas nastąpi era pełnego życia.

Czyż nikt nie widzi, jak dalecy są zawsze „Oni”?

Mały chłopiec ma w sobie coś z hinduskiego bożka, dla którego siostry i dziewczęta wogóle nie warte są fatygi, jako podrzędna rzecz. Później, coś czasu poświęca się im, może z mody i potrzeby, a jeszcze później układa się życie obok, wygodnie, znów bez zadawania sobie fatygi, by, współmyśląc — współczuć.

Tak jest najczęściej.

Czyż nikt nie widzi, że ogromna ilość bohaterów powieściowych, wyszłych z pod pióra powieściopisarzy, jest mniej, niż cieniem kobiety? W najlepszym razie widać — oczy i zarys twarzyczki.

Grossek-Korycka poruszyła wielki odłam kobiecych rzesz, ale jeszcze nie wszystkie.

Mam wrażenie, że już istnieją kobiety przyszłości, o których ta nieźródłowa myślicielka wspomina, a nie chcą, czy nie śmia zabrać głosu, ani wysunąć się naprzód.

I nowe, i ciekawe, jak najpiękniejsza baśń, o których nikt nie pisał nigdzie i których nie zna nawet Kornel Makuszyński.

A propos tego miłego „piszącego pana”: czy nikt nie zauważył drwin na temat „pani”, z królewską pychą i wzgardą ofiarującej to — czego Oni pragną?

Ten, zresztą bardzo sympatyczny, pan myślał przytem drwiąco, że Ona beczelnie kłamie, bo — sama jest głodną.

No, tak.

Ale my, daleko głębiej znając siebie, czy nie mogłybyśmy również wytłumaczyć tego „czarczał”,

Psyche, upokorzonej królowej — której królestwa nikt znać nie chce?

Oczywiście, znać, poznać, — to też jest pewnego rodzaju trud.

Czy nikogo nie zastanowiło to, co Grossek-Korycka pisze, że dziś uwodzicielami i demonami są kobiety?

Dlaczego tak?

Zwyczajnie dlatego, że One ich psychikę znają doskonale.

A te, które są temi demonami, czy nie przypominają swemi czynami podświadomej zemsty i drwin Psyche nad władcami świata, owymi bożkami, zapatrzonymi wgląd siebie, a obojętnymi, poza ofiarami i kadzidłami, na jakieś tam psychiki kobiece.

Zdaje mi się, że jesteśmy tymi zdolnymi uczniami, co podpowiadają profesorom dalszy ciąg przerwanego wykładu — wykładu, do którego się nam już nawet przygotowywać nie trzeba.

I mimowoli przytem stajemy na jakiejs duchowej wyżynie.

A że wieki całe urabiały w nas mimozowatość, więc chcemy się wesprzeć na towarzyszach życia.

Lecz tych niema obok nas — zostali niżej.

I jest nam źle, bo nie dążyliśmy do tego.

Chcemy iść ręką w rękę i chcemy nie tylko rozumieć, ale i być rozumiane.

Czy należy im odsłaniać tajnie naszej psychiki?

Oni ją muszą znać, — sami to sobie prędzej czy później uświadomią, aby zdążyć w drodze, aby nie pozostać w tyle.

Aby się nie stać z władców — niewolnikami.

Czy nie wspomina coś o podobnej erze — Krasieński? Może to dziś brzmi jeszcze, jak fantastyczna baśń, — ale jesteśmy harfami, na których każda śmiała myśl pokrewna oddzwania tysiącem strun — i gra nową pieśń.

Nazywa imieniem myśli drzemiące i powołuje je do świadomości.

Idźmy za nią.

Pani W. B. z radomskiego.

Chciałabym niniejszem zasięgnąć informacji od Szanownych Czytelniczek, czy która z nich próbowała już hodowli jedwabiu? Tyle się o tem mówi i pisze od dłuższego czasu, więc postanowiłam spróbować u siebie. Korzystając z tego, że mam drzewa morwowe, wyhodowałam jedwabniki, udało mi się wyprodukować przędzę i nie mogę jej sprzedać. Jest to ilość niezbyt wielka, ale hodowla rozwija się coraz lepiej i mogłabym dojść zczasem do dużej produkcji. Ale co poradzić na zbyt? Przecież nie można zmarnować całej pracy. Może która z pań zna jakieś źródło, jakąś centralę sprzedaży i zechce mi ją wskazać. W naszej okolicy, jest dużo morw i możnaby zorganizować pożądaną produkcję, ale trzeba móc sprzedać, a tymczasem moje sąsiadki, które, zachęcone moją pracą, chciały też rozpocząć je u siebie, obecnie zniechęciły się zupełnie. Więc prosimy o radę i wskazówki.